

## Zachowania bezpieczne

Włodzimierz Maciąg

Słychać zewsząd pytanie o programy. Mentalności końca XX wieku nie wystarczy poczucie wspólnoty wydobycia się z upadku, nie wystarczy przekonanie, że dla sensownego działania doć uświadomić sobie, w jakiej tkwimy zapaści, co nam utrudnia albo uniemożliwia budowanie mieszkań, produkowanie żywności, uprawianie nauki i sztuki. Kto wpadł do dołka — czy musi pytać, w imię czego albo dla jakich celów ma się z niego wydobywać?

Istnieje jednak w naszej mentalności ukryte przeświadczenie, że programowanie przyszłości jest niezbędne, bo tylko w ten sposób dać można sens zbiorowemu działaniu. Bez owych programów działania te stają się zbiorowiskiem niespójnych, albo co gorsza przeczących sobie inicjatyw i wysiłków, skazanych wobec tego na daremność, ludzie to wyczuwają i dlatego nie kwapią się do demonstrowania zbiorowej aktywności. Przyszłość nieplanowana jest dla wielu przyszłością ciemną i bezsensowną, budzi lęk swoją nieobliczalnością.

Tak myślał w pierwszej wojnie Zeromski. Polsce trzeba na gwalt wielkiej idei — wykrzykuje Cezary Baryka do ministra Gajowca i jest głęboko przeświadczony, że wymyślenie czy zaprojektowanie takiej „wielkiej idei” to jedyna skuteczna droga wydobycia się z powojennej biedy i zniszczenia. Co więcej, Baryka stawia za przykład odwagę Lenina. Co nie znaczyło, jak dobrze wiemy, że chciał iść tą samą drogą, a niewątpliwie także sam Zeromski, zakładał programowanie przyszłości, albo, jak się dzisiaj rzecz nazywa, utopię — jako konieczny składnik racjonalnego działania w polityce. Bez wielkiej idei ludzie nie wyrwą się z gnuśności codzien-

nej wegetacji, nie zdobędą się na wielki wysiłek zbiorowy, nędza i zacofanie nie przestaną nam doskwierać. Pozostaną konceptionos, banda bez koncepcji — jak mawiali okupanci hitlerowscy.

Nie zmiernam do odpowiedzi na pytanie, czy ten układający się w szereg zbiór: program — wielka idea — utopia — jest dzisiaj potrzebny dla zdobywania głosów wyborczych, pozostawiam to doradcom Lecha Wałęsy. Jest niewątpliwie między nami bardzo wielu ludzi, którzy żywią takie, ukryte albo jawne, przekonanie. Chodzi mi o coś innego, o ukazanie historycznego, powiązane go z określoną formacją, charakteru podobnego przeświadczenia. Ludzie wcale nie zawsze tak rozumowali i tworzenie programów — wielkich idei — utopii nie było wcale konieczne dla ich rozgrzewania do roboty, nie było konieczne, aby mieli poczucie sensu, że warto się wysilać i organizować w zespoły.

Niektórzy socjologowie twierdzą, że pierwiastek programowo-utopijny jest stale obecny w praktyce partii totalitarnych, że on właśnie pozwala je wyodrębnić czy nawet określić jako partie totalitarne. Wiadomo wszakże, że zjawia się on zazwyczaj wtedy, kiedy przywódcy, czy zespoły kierownicze, usiłują zdobyć poparcie mas, które czują się upośledzone.

### OBIETNICA INNEGO, LEPSZEGO URZĄDZENIA ŚWIATA

przemawia do tych warstw ze szczególną, łatwo zrozumiałą skutecznością, im właśnie, przede wszystkim, dać może poczucie sensowności skupiania się i organizowania wokół zaprojektowanego celu, poczucie braterstwa na rzecz lepszej, sprawiedliwszej przysz-

ści. Tak pojęty pierwiastek programowo-utopijny zjawia się niemal „od zawsze” w radykalnych ruchach plebejskich, bardzo silnie zaznacza się na przykład w późnośredniowiecznych ruchach sekt religijnych, gdzie samo urządzenie życia gospodarczego przesunięte jest na dalszy plan wobec celów przede wszystkim moralnych.

Totalitaryzm XX-wieczny daje się tu wyodrębnić innym swoim apelem, mianowicie apelem do przechwycenia jakiejś innej energii napędzającej życie zbiorowe, energii, z jakiejś dotąd świadomie niekorzystano, pozostawiając ją w stanie „bezmyślnego” żywiołu. Ta energia przejawia się może w walce klas na przykład, albo też w instynkcie gatunku czy rasy dążących do dominacji, powiedzmy w nordycko-germańskiej krwi i ziemi. Tego rodzaju żywioł — propaganda polityczna umie wyolbrzymić, a nawet zabsolutyzować jego siłę — staje się sprzymierzeńcem zamiarów przywódców, masy mają mu świadomie podporządkować się i mogą uwierzyć, że potęga żywiołu zapewnia o skuteczności programowania. Z jednej strony pojawia się tutaj niewyobrażalny dawniej w swej sile element masowości, z drugiej zaś umiejętność posługiwania się językiem uczonym, pojęciami wywiedzionymi z dorobku filozofów. Pseudoreligijne apele ideologów średniowiecza stają się teraz pseudonaukowymi czy pseudointelektualnymi wywodami historyków.

Są to kłamstwa ideologów totalitarnych i można nad nimi — zdawałoby się — przejść do porządku. Nie tak prędko. Mit samospełniającej się historii, historii napędzanej przez jakieś nie rozpoznane dotąd, mo-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

Erik Johan Stagnelius jest czołowym poetą szwedzkiego romantyzmu, zjawiskiem nie mającym odpowiednika w literaturze polskiej tego okresu. Łączy namiętną, fizyczną egzaltację z egzaltacją mistyczną i metafizyczną. Fascynacje cielesne łączy z idealizacją i ośnieniami religijnymi. Prezentowany poniżej wiersz pochodzi ze zbioru jego poezji, przygotowywanego do druku w Oficynie Literackiej. Całość tłumaczył LEONARD NEUGER.

### Erik Johan Stagnelius Pieśni wiosenne

*Nadeszła wiosna. Znowu Zbawiciel  
daje się zrodzić zwykłej kobiecie.  
Na zwinnych skrzydłach do niej zlatuje  
raz jeszcze Gabriel i przekazuje  
Dobrą Nowinę.*

*Miękko w zefirach głos jego mruczy,  
władczo w wezbranych potokach huczy,  
łagodnie szepce od drzew zbudzonych,  
radośnie w ptaków świergocie dzwoni  
„Bądź pozdrowiona!*

*Niebo cię kocha, o pełnaś łaski!  
Wieczne są jego miłości blaski,  
na wieczność Panne w objęciach gości,  
żadne mu ciebie okoliczności  
z serca nie wydrą.*

*Fant będziesz niosła z waszych płomieni,  
chwała wieczysta go opromieni.  
Dobrze uczyni, marnie gdy skona,  
lecz z grobowego nocnego łona  
nieziemski wstanie”.*

*Z sercem bijącym Kobieta słucha,  
w niepamięć idzie zim zawierucha.  
Śnieżne okrycie Paniienka błoga  
zrzuca i ręce wznosi do Boga  
rozmiłowane.*

*Czas się wypełnia. Maryja rodzi,  
by z pęt materii nas wyswobodzić.  
Patrząc w praźródło, co w niebie błyska,  
powstaje młodzian ze zwirowiska,  
powstaje z nocy.*

## Sprawiedliwość dziejowa szczebla terenowego

# Śmierć Romanowów

Kilkanaście lat temu ukazała się sążnista publikacja „Pisma carskiej sjemji iz zatoczenia” (Holy Trinity Monastery, Jordanville, N.Y.), zawierająca — oprócz korespondencji sygnalizowanej już w tytule — niezwykle bogate źródła (fotografie, kopie dokumentów, archiwaliów itp.) dotyczące ostatnich dni Mikołaja II i innych członków rodziny Romanowów, już po „internowaniu” ich w Jekaterynburgu. Nie podzielaając bynajmniej monarchistyczno-carosławnych zapatrywań autorów wspomnianego dzieła, przytaczamy zeń jednak poniżej obszerny fragment opisu wydarzeń poprzedzających śmierć ostatniego „imperatora Wschodniej”. Traktujemy je raczej jako nieoficjalny przyczynek do wypełnienia jednej z wielu tzw. „białych plam” historii Europy Wschodniej.

Refleksje na temat prawnych aspektów wyroku na Mikołaja II (przyjmując, rzecz jasna, jako punkt odniesienia prawo i praworządność rewolucyjną), a także wszelkie wnioski komparatystyczne, wysnute ewentualnie w oparciu o wcześniejsze przypadki egzekucji europejskich głów koronowanych — pozostawiamy Czytelnikowi.

Likwidację carskiej rodziny przygotowano w najściślejszej tajemnicy. O planie tym nie powiadomiono nawet wielu spośród wysoko postawionych bolszewików. Decyzja zapadła w Jekaterynburgu (obecnie Swierdłowski), zgodnie z rozkazem wydanym w Moskwie, i pokrywała się z wcześniejszymi już zamysłami.

Głównym organizatorem zabójstwa był J. M. Swierdłow, pełniący wówczas funkcję przewodniczącego Prezydium Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego (WCIK). Był on autorem wszystkich decyzji i poleceń wysłanych do Jekaterynburga. Jego zadanie polegało głównie na tym, by opatrzyć akt mordy cechami samowolnej inicjatywy lokalnych władz uralskich, uwalniając tym samym od odpowiedzialności za ów czyn właściwych inicjatorów oraz władze moskiewskie.

Współorganizatorami zabójstwa — spośród znacznej liczby miejscowych działaczy bolszewickich — byli:

S. J. Gołoszczekina, osobisty przyjaciel Swierdłowa, skupiający w swych rękach całokształt faktycznej władzy na Uralu, wojenny komisarz obwodu uralskiego i szef miejscowej CzeKa; J. I. Weissbart („Bieloborodow”), przewodniczący Ispokomu Uralskiej Rady Obwodowej; A. Medius, naczelnik sztabu rewolucyjnego i powiernik samego Trockiego; J. Ch. Jurowski, członek CzeKa i komisarz wymiaru sprawiedliwości obwodu uralskiego; P. E. Weinert („Wołkow”), komisarz do spraw zaopatrzenia i pomocnik Jurowskiego, i wreszcie (nie znany z imienia) Safarow, pełniący funkcję drugiego pełnomocnika.

Przypadki im w udziale następujące role: Gołoszczekina udał się do Swierdłowa do Moskwy, aby odebrać zlecenia i zadbać o ich szczegółowe wypełnienie w Jekaterynburgu, w czym mieli mu dopomóc Bieloborodow i Medius; Jurowskij natomiast, wraz z Wołkowem i Safarowem, mieli

(DOKOŃCZENIE NA STR. 5)



# Co nowego w prasie?

Zgodnie z tradycją w świątecznych numerach czasopism problematykę kulturalną reprezentowały głównie teksty lżejszego kalibru, stosowne do choinkowych nastrojów i rozleniwionej obżarstwem percepcji czytelników. Przykładem może być TYGODNIK LITERACKI (nr 14-15) z gigantyczną rozmową-rzeką (4 strony druku!) Iwo Smolki z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem, który sygnalizując anegdotami gawędzi o młodości Mickiewicza, romanse z Marylą itd. Niewiele krótsza jest także opowieść Joanny Siedleckiej o rodzinie i młodości Konstantego Jeleńskiego. Ale jak w Boże Narodzenie przystoi, to co najbardziej sensacyjne wydarzyło się nie w literackich stolicach, lecz w prowincjonalnym Betlejem: Jerzy Giedroyc, papież polskiej emigracji intelektualnej, wydrukował swój tekst po raz pierwszy od 50 lat w prasie krajowej; opublikowały go jednocześnie dwa pisma — krakowski TYGODNIK MAŁOPOLSKA i TYGODNIK GDANSKI. Artykuł zatytułowany „Szukać dróg wyjścia z kryzysu” jest zbiorem zaleceń dla władzy centralnej. Wskazania te dotyczą polityki wewnętrznej, zagranicznej oraz — fragmentarycznie — kulturalnej i zostały wyrażone w formie bardzo zwężonej i kategorycznej: „należy jak najszybciej”, „jest rzeczą absolutnie nieodzowną” itp. Ich meritum wydaje się nieraz dyskusyjne, w tym przypadku jednak nie treść artykułu jest najistotniejsza, lecz kontekst, w jakim się ukazuje: dotyka on bowiem m. in. sprawy traktowanej w naszej prasie jak tabu, mianowicie rozliczenia ogromnych dotacji amerykańskich, przyznawanych Wałęsie lub pozostałym w jego dyspozycji, nie mówiąc już o drażliwych kwestiach ustawy antyaborcyjnej i powrotu religii do szkół (którym to decyzjom Giedroyc jest zdecydowanie przeciwny). Otóż oba pisma publikujące tak obrazoburczą miejscami wypowiedź, są ściśle związane z regionalnymi strukturami „Solidarności”. „Okazało się jednak, że istnieje w Polsce pluralizm prasy, pluralizm poglądów — napisano w krótkim wstępie do artykułu Giedroycia w „Małopolsce”. Niewątpliwie fakt tej publikacji tu i teraz należy uznać za sygnał optymistyczny.

Mniej pluralistycznie wydaje się brzmieć wywiad, jakiego PRZEGLĄDOWI TYGODNIOWEMU (nr 51/52) udzielił ks. biskup Adam Lepa, przewodniczący Komisji Episkopatu ds. Środków Społecznego Przekazu. Ks. biskup surowo traktuje laików, a zwłaszcza dziennikarzy: „Ludźmi, którzy w Polsce mają rozeznanie w zakresie wielorakich zniekształceń w obrębie życia duchowego i moralnego społeczeństwa są czynni duszpasterze. Niestety, dziennikarze najmniej ich o to pytają, wychodząc pewnie z założenia, że sami najlepiej wszystko wiedzą. (...) Dziwne, że o losy wiary i katolicyzmu w Polsce martwią się tak da-

lece i dość krzykliwe właśnie nie teologowie, nie duszpasterze oraz nie ci wszyscy, którzy autentycznie wierzą i praktykują. (...) Sugerowanie, jakoby Kościół w Polsce mieszał się do polityki jest pozabawione sensu. Rodowód tego zarzutu jest z gruntu totalitarny i — wydaje mi się — że szkoda dziś czasu na tego rodzaju dyskusję. (...) Jak ochronić społeczeństwo przed nieodpowiedzialnymi dziennikarzami? (...) Polakom potrzeba dziś takich treści w mediach, takich impulsów i działań szlachetnych, które by ich mogły porwać do wytrwałego i konsekwentnego urzeczywistniania najszczytniejszych ideałów i wielkich marzeń na miarę czasów i przemian, którymi tak szczerze Pan Bóg nas obdarował”. To ostatnie wezwanie, dokładnie tak sformułowane (tylko bez Pana Boga) słyszeliśmy, wszyscy piszący, nieprzerwanie od 45 lat, acz oczywiście poprzednim zwykłym o inne „treści, impulsy i działania szlachetne” chodziło. Zdaje się, że jedyny, który zawsze miał i nadal ma szansę sprostać takim wezwanom i oczekiwaniom — to Jan Dobraczyński.

Krakowska ARKA, jeden z najlepiej redagowanych i najbardziej znanych periodyków kulturalnych drugiego obiegu, wydała pierwszy numer „oficjalny”, w zwykłym systemie produkcji i rozpowszechniania. Jest to zarazem kolejny nr 29. Znajdujemy w nim m. in. odpowiedź 9 wybitnych historyków na rozpisany przez redakcję ankietę, pytającą, czy historia w nowej sytuacji (zanikanie rozdziału między „historią prawdziwą” i „historią oficjalną”) może nas jeszcze uczyć. Trudno tu streszczać wszystkie wypowiedzi, ale przynajmniej parę cytatów: „Nie wyzbędziemy się uczuć zawodu, rozczarowań i goryczy, dopóki nasza historiografia, i to na poziomie popularnym, nie będzie podkreślać, że interesy innych państw mogą nie być zbieżne z polską racją stanu, co jeszcze nie świadczy o ich antypolskości czy perfidii” (Piotr Wandycz). „Musimy osiągnąć równowagę, mocno obecnie zachwiana, między rozwojem historii politycznej a historią kultury, historii gospodarczej, historii społecznej. Otwiera się przed nami, historykami, ogromna szansa wyzwolenia siebie samych i naszych rodaków od ogromnej presji społecznej na pisanie sag o wojennych dziejach naszego narodu, na rzecz krytycznej i wnikliwej oceny dokonanej na polu cywilizacji” (Krzysztof Zamorski). „W nadchodzącej dekadzie historia będzie się zajmować raczej wzmacnianiem umysłów niż krzepieniem serc. (...) Można powątpiewać, czy wszyscy tak właśnie widzimy rolę historii w życiu narodu. Uważam jednak, że teraz właśnie historię trzeba pisać nie na zamówienie społeczne, ale w poczuciu obowiązku” (Jan Kieniewicz).

Jerzy Lohman

## DRESZCZOWIEC

W sytuacji ciężkiego kryzysu przywódca polskich związków zawodowych, kreowany na przywódcę narodu, jedździ po świecie i grozi wojną domową w Polsce, jeśli nie otrzyma gotówki. To już przechodzi wszelkie pojęcie. Na Zachodzie jest to nazywane gryzieniem własnej ręki lub nogi, samookaleczaniem się, czego nawet zwierzęta nie robią. Zwierzę tego nie robi, bo to nie jest normalne, tylko wówczas, gdy znajdzie się w pułapce!

Nikt nie będzie inwestował w kraju, którego przedstawiciele od najwyższych szczebli rządowych jedździ po świecie i mówią, że Polsce grozi wojna domowa, prosząc o gotówkę i w tym samym czasie grożą, że skoczą kapitałom do gardła. (...)

Stan Tymiński „Święte psy”

## 2 Dekada Literacka

Prof. WŁODZIMIERZ MACIĄG — historyk literatury, prezes krakowskiego oddziału SPP.

Może raczej: co zapamiętałem wśród lektur bieżących? Dzięki uprzejmości autora mogłem zapoznać się ze zbiorem Bronisława Łagowskiego „Co jest lepsze od prawdy?” (Wyd. Liter. 1986). Książka wydana przed trzema laty, ale wciąż pobudzająca i aktualna. Filozof zajmujący się problematyką na wskroś współczesną, historyczną — to w ogóle zjawisko.

Następnie czytałem też Marii Gołaszewskiej „Istotę i istnienie wartości” (PWN

1990) — książkę, która przy całej profesjonalności nie jest jednak książką tylko dla profesjonalistów. Zresztą autorka słynie z tego, że wszędzie to wartości umie odnaleźć.

I wreszcie Patrick Süskind: „Pachnidło” (Czytelnik 1990). Bestseller sezonu, ale też trzeba powiedzieć, że sukces jest uzasadniony. Świetnie się tę książkę czyta.

WIESŁAWA OTTO-WEISSOWA — kierownik Redakcji Literatury

# KTO CO CZYTA?

Polskiej w Wydawnictwie Literackim.

Ostatnimi czasy czytuję: 1) drugorzędą prozą polską i obcą sprzed II wojny (nie dla przyjemności, tylko w poszukiwaniu atrakcyjnych czytelnictwo pozostawiających, które mogą przynieść wydawnictwu zysk),

2) aktualnie wpływającą na wydawnictwa prozę,

3) „Lapidarium” Kapuścińskiego, „Ostatniego romantyka sceny polskiej” (o Schillerze),

4) „Tai-Pana” Clavella.

Jest to film tak bardzo amerykański, że w Polsce nie najłatwiej uchwyciłyby nawet w swoich podstawowych odniesieniach. Jest jednakże tak bezpośredni, że w zewnętrznej warstwie zrozumiały dla każdego uważnego widza; i to daje mu szansę, spełnione na całym niemal świecie.

Choć amerykański, i to tak bardzo amerykański, jest równocześnie tak odmienny od hollywoodzkich standardów ostatniej dekady, że nasi specjaliści od rozpowszechniania odrzucili możliwość zdobycia przez niego widowni. W istniejącej jeszcze na początku tego roku Centrali Rozpowszechniania nie zamawiano kopii i całkiem możliwe, że SEKS, KŁAMSTWA I KASETY WIDEO trafiłyby tylko do garstki widzów, gdyby nie „Konfrontacje”. Film, włączony do programu tej imprezy, zyskiwał sobie stopniowo coraz większe uznanie i od tego czasu właściwie nie schodzi z ekranów, wciąż gdzieś powtarzany. Stał się jedną z rewelacji roku.

Stał się nią wszędzie i we wszelkich aspektach: dla publiczności, dla krytyki, dla ju-

MacDowell, cudownie autoironicznej na początku, gdy jest „w pełni się kontrolującym” młodym bibelotkiem ze średniej burżuazji, równie cudownie otwartej i naturalnej, wyzwolonej ze sloganu małżeństwa w fazie finalowej).

Otwartej, naturalnej, wyzwolonej? Ktoś mu nie widział, sądzić mógłby, że, zwłaszcza pod swoim tytułem, przedstawia nam zamontowany wariant fabuły libertyńskiej, coś z kontrocyjnych ogrodów rozkoszy? Ha, może by i było, ale przed laty, a nie w czasach Alana Owszem, opowieść Soderbergha jest o erotyzmie, i o seksie w nieprawym łóżu, i nawet o zrywaniu związków małżeńskich — ale to, by stawić miłość jako czyste zbliżenie (bardziej zbliżenie osobowości niż organów płowych) i miłość jako prawdę.

Zarówno ta konkluzja, jak sposób jej prowadzenia są właśnie równie amerykańskie, co mił wolności. Wychodzą bowiem z trzech pierwiastków bardzo w Stanach znaczących z zasady prawości postępowania, z nauki psychoanalitycznego i z „kinsejzmu”, czy

Po co ludziom filmy?

# Czułość, prawda i rozmowy sam na sam

Adam Garbicz

rorów festiwalowych („Złota Palma” w Cannes) i dla kolegów 27-letniego Stevena Soderbergha, którzy — w plebiscycie ponad tysiąca reżyserów z całego świata — przyznali mu doroczną nagrodę Orsona Wellesa za najlepszy debiut anglojęzyczny (odpowiednią premię dla filmów nieanglojęzycznych otrzymał Eric Rochant za francuski ŚWIAT BEZ LITOŚCI).

Jakkolwiek na to patrzeć, wycyzn jest nie tyle jaki: SEKS, KŁAMSTWA I KASETY WIDEO to opowieść ekranowa bardzo nieskomplikowana, kameralna, zupełnie niewidowiska — rozegrana z udziałem paru znakomitych młodych aktorów w kilkunastu scenach w kilku pomieszczeniach — i pozbawiona nawet tych atrakcji, które zdawałyby się sugerować tytuł. Nie mamy bowiem do czynienia z jakimś rodzajem erotyki, lecz z liryczną komedią psychologiczną, której najbliższe pokrewieństwa widzę w przedsięwzięciach Erica Rohmera (choćby PRZYJACIEL MOJEJ PRZYJACIOŁKI) i Bergmana — ale tych wyjątkowych, jak MARZENIA KOBIET, gdzie wspaniałym obserwacjom psychicznym towarzyszy lekkość tonu, pogoda życia, słoneczność nastrojów.

Słoneczność, no właśnie. Soderbergh pochodzi z Południa, z Georgii, i ten film też nakręcił na Południu, w Baton Rouge, stolicy Luizjany. Więc, skoro seks i amerykańskie Południe, to Tennessee Williams, coś z tej parnej, leniwej i gwałtownej, brutalnej, i perwersyjnej atmosfery namietności? Nie; właśnie, że zupełnie nie. To inna słoneczność, bardzo delikatna, także w swym humorze nader subtelną; dosyć długo od wprowadzenia filmu na ekrany widownia polska zastanawiała się, czy to w ogóle komedia; niektórzy zapewne do tej pory nie zgodziliby się z takim postawieniem sprawy.

W czymże jednak ów szczególny amerykańizm, skoro nawet nie w specyfice regionu? Poza tym — gdzie konsekwencja w tym, co piszę, jeśli parantele wynajduję akurat europejskie (i zaraz dodam następną: aktorstwo wywodzi się tu oczywiście z rosyjskiej szkoły Stanisławskiego, przetworzonej w Nowym Jorku na Metodę. Szczególnie dotyczy to głównego bohatera, Jamesa Spadera, absolwenta Studia Michaela Chekova i laureata oddzielnej nagrody za tę rolę na festiwalu w Cannes: daje on tu prawdziwy koncert misternej, ekshibicjonistycznej improwizacji w ułożeniu się z kreowaną postacią. Dodac jednak trzeba, że ma co najmniej jedną w pełni godną partnerkę w osobie Andie

raportowania o stanie świadomości seksualnej (od nazwiska pierwszego badacza, który dał rewelacyjne wówczas dla ogółu wyniki badań w tej dziedzinie). To ostatnie wynika z amerykańskiej potrzeby ustawicznego sprawdzania się, odwoływania do normy przyrównywania do czołwki w wysiłku sukces; szczególnie w tym filmie ważny, bo maczający bohatera, który inaczej może się dać tylko opętany obsesją impotencji. Oczywiście Soderbergh, tak czy inaczej, nie kpiwa sobie z niego.

Kpi również z nawyku psychoanalitycznego z którego Amerykanie chyba nieprędko się leczą, o ile w ogóle. Jest im już bowiem dość niezbyt jako furka azyłu we wspólnym zgłębku cywilizacyjnym. Jakąś brzość mieć; oni mają taką; my, zdaje się, żadnej nie mamy. Ann w gabinecie psychoterapeuty wspaniała komedia i reżyser udowadnia, że wywołanie się duchowo można najpełniej w szczerym związku z właściwym partnerem — najpierw trzeba mieć czas i możliwość materialne, aby w ogóle na takiego trafić; ta kwestia różnica między amerykańskimi polskimi wariantami sytuacji z filmu jest ogromna...

Najważniejszym, specyficznym kluczem do SEKSU, KŁAMSTWA I KASETY WIDEO jest wszakże zasada prawości. Może po całej historii z kłamstwem Nixona jest to u nas najbardziej zrozumiałe, ale chyba nadal nie dociera do tradycyjnej, wynikającej z zasad proceduralnych, jankeskiej abominacji do kłamstwa; a byłoby dobrze pojąć ją w kontekście, gdzie połowa interesów opiera się na szkapieniu kontrahentów i urzędów, i gdzie dawno, podczas kampanii wyborczej, więcej kalumni niż liści jesiennych. W tym też brać pod uwagę, że podstawowym punktem amerykańskiego stosunku do ZSRR jest właśnie: „przecież bolszewicy bez wstydu” (stąd znaczenie zmiany nastawienia przez głośność). W tym świetle inaczej można dać bohaterki filmu: nam wydawać się może, że to swawolny sztafeciarski żart, ale w Ameryce...

Nie chodzi jednak o jego kłamstwo i dactwa, lecz o wyzwolenie delikatnej i jej zamiar konwencji na naturalność. SEKS, KŁAMSTWA I KASETY WIDEO to w dłużym ataku na hipokryzję, lecz odwołuje się do oczyszczającego wezwania do obcowania bez protez technicznych, bez szumu cyfrowego epoki komputerowej. Wzrost źródła, proste i czyste jak źródła



Stratę jaką wraz ze śmiercią Tadeusza Kantora ponosi polska kultura można opisywać słowami najwybitniejszych znawców sztuki. My wolimy oddać głos samemu Kantorowi.

Przedstawiony poniżej tekst pisał On w 1988 roku w Mediolanie, z okazji włoskiej prapremiery swojej ostatniej sztuki „NIGDY TU JUŻ NIE POWROCE”. W tekście tym wyraża swoiste credo artystyczne. Credo Wielkiego Mistrza Teatru.

Tadeusz Kantor zmarł 8 grudnia 1990 roku w trakcie prób do najnowszego spektaklu: „DZISIAJ SĄ MOJE URODZINY”. Jego premiera miała się odbyć w styczniu 1991 roku w Paryżu. W czasie ostatnich prób dziwnie się spieszył, co zauważyli aktorzy; powtarzał, że nie ma czasu. Już po zawale, w szpitalu, żądał od lekarzy, aby go wypuścili, gdyż musi zakończyć pracę nad nowym spektaklem. Już nie zdążył.

Wszystko co robiłem w sztuce, było odbiciem mojej postawy wobec wypadków, które działy się wokół mnie, sytuacji w której żyłem, moich lęków, mojej wiary w to, a nie co innego, mojej niewiary w to, co do wierzenia było podawane, mojego sceptycyzmu, nadziei.

Do wyrażenia tego wszystkiego i na własny użytek stworzyłem ideę Realności, która odrzucała pojęcie iluzji, a więc postępowanie uznane za naturalne dla teatru...

GRE przedstawienie, „reprodukcje” tego co zostało napisane w dramacie (w „sztuce”). Słowo „reprodukcje” miało ton złośliwy — coś co zaprzecza autonomii, autonomii teatru. Byłem dumny z tego radykalizmu. Nie byłem jednak na tyle ortodoksyjny — aby wierzyć temu do końca. W praktyce oddawałem się „na boku” wątpliwościom i to chyba ustrzegło moje spektakle od nudy i oschłości.

Nie oznacza to, że porzucam dziś tę ideę.

Dzięki niej coś tam zrobiłem dla zwiększenia autonomii teatru, i zdemaskowania powszechnej, nieznośnej i pretensjonalnej metody „udawania”, na serio, „przeżywania”, na serio itd., itd.

Przyszedł jednak w końcu moment w etapie mojej twórczości, który zaczynam uważać za „resummé” — moment — powiedziałbym — ostateczny, kiedy robi się rachunek sumienia. Jak to było naprawdę z tą realnością. Czy rzeczywiście zrobiłem wszystko dla niej?

Zaczynam być surowy dla siebie samego. Gdy miałem być dzieckiem dzieckiem był kto inny, nie ja realny (to jeszcze można usprawiedliwić) gdy miałem umierać...

umierał kto inny. „Grał” mnie umierającego. I ta „gra”, którą wykląłem, funkcjonowała doskonale.

Gdy z uporem, z tęsknotą, nieustannie

wracałem myślą do Klasy Szkolnej, to nie ja, to inni (aktorzy) wracali do ławek szkolnych, wracali, „przedstawiali” i „udawali”

Mówiąc prawdę, osiągałem tylko to, że z pasją i satysfakcją pokazywałem, że „udają”. Moja obecność na scenie miała zatuszować klęskę mojej „niemożliwej” idei: „niegrania”, i ratować jej ostatni dowód i rację: „udawanie”. Ale w głębi duszy nie rezygnowałem. Z pomocą przyszło mi samo życie...

Moja ostatnia wyprawa w tym życiu, które na równi z moją sztuką pojąłem jako nieustanną podróż, poza czasem i poza wszelkimi prawami...

Czułem, że jest to spełnienie mojej upartej myśli o powrocie do czasu młodości, czasu „chłopca” (ile obrazów zrobiłem, ciągle z tym wizerunkiem „chłopca”).

Tam był mój dom. Prawdziwy. Będę umierał i nie przyznam się, że jestem stary.

Śmierć i miłość... Przyszła chwila kiedy nie mogłem rozróżnić, która jest która. Obie mnie urzekły. Przyszły noce, bo noce były moją porą tworzenia, przyszły noce, gdy śmierć strzegła pilnie wejścia do mojego Biednego Pokoiku Wyobraźni.

Zrozumiałem, że nadszedł czas zwycięstwa. Niestety nie z tego świata. Wejść na scenę — już nie jako „strażnik” twierdzy, do której bronilem wstępu „grze”, ale jako realne „JA”, nie potrzebujące gry, przedstawiania, udawania itp. ...

Potrzebne mi były dwie metody. Jedna: nie powiedzieć ani słowa, pozostać milczącym i pustym jak grób. Tak mi doradzała Śmierć.

Druga wynikała z mojego przekonania o reakcji widowni, publiczności, mówiąc szerzej: tzw. świata, którego cynizm nie ma równego. Wiedziałem, że nie mogę spodziewać się niczego innego jak szyderstwa i ośmieszenia.

Należało tę reakcję uprzedzić. Mam w ręku wszystkie środki.

Obojętność, szyderstwo, złośliwość świata powierzam... aktorom, żalonym postaciom przeszłości. Zrobią to lepiej i otwarcie.

Uczynić publicznym, co w życiu indywidualnym było najskrytsze, co zawiera w sobie wartość najwyższą, co dla „świata” wydaje się śmiesznością, czymś małym, „biedą”. Sztuka tę „biedę” wydobywa na światło dzienne. Niech rośnie. I niech rządzi.

To jest rola sztuki.

Mediolan, kwiecień 1988

## JA REALNY

Tadeusz Kantor



Janusz Krasiński, rocznik 1928, dramaturg, reportażysta, prozaik. Żołnierz AK, w latach 1944—45 więzień obozów koncentracyjnych, w latach 1947—55 więzień polityczny PRL. Debiut poetycki w „Po prostu” w 1957 r. Autor wielu sztuk (m. in. „Śniadanie u Desdemony”), tomików poetyckich i prozatorskich.

Dzisiaj drukujemy pierwszy z fragmentów jego powieści „Na stracenie”, która wkrótce ukaże się nakładem PIW.

## CZERWONY PIŁAT

Janusz Krasiński

Jedynie oczekującym egzekucji niedziela przyniosła chwilową ulgę, jako dzień, w którym mogli być pewni, że nikt po nich nie przyjdzie. Kiedy jednak rozszedł się potajemnie wiadomość, iż dziś odprawiona zostanie msza święta — przerwało wykład, kierat rozprysnął się po kątach, umilkły zaciekle dyskusje, zgarbięto ze stołów szachy i japońskie domino. Pozostano jednak na miejscach. Siedząc lub stojąc zwracano nieznacznie głowy w stronę zakratowanego okna, przy którym krzątał się już mały ksiądz, ustawiając na parapecie miniaturowy krzyż z chleba i liturgiczne naczynia. Były to zresztą zwykłe metalowe kubki. W jednym z nich znajdowała się woda, w drugim — sok odcedzony ze sfermentowanych redyńków. Ze względu na konspiracyjne warunki msza miała być odprawiona bez ministranta, a jej celebrowanie winno robić wrażenie osobistaj

modlitwy kapłana, nie wiedzącego nic o współuczestnictwie reszty celi. Jedynie ciska i bezruch świadczyły mi, iż zgromadzeni łączą się we wspólnocie w Duchu Świętym, a kapłan wymawiając w myśli „Pan z nami...” potajemnie witał ich imieniem Najwyższego.

Nagle jednak łamiąc zasadę niemej masy powiedział głośno „Kyrie eleyson...” i kilkanaście głosów powtórzyło za nim „Panie, zmiłuj się...”, po czym przykleknął na beton, a za nim cały oddział skazanych na śmierć. Pot żarliwych modłów wystąpił im na czoła.

Jedynie ciemny zbój Kuźma nierad pomienić widoków za kratą i toczonego się tam życia na ponure spojrzenie w głąb swej mrocznej duszy — stał w drugim oknie zwrócony tyłem do wszystkich niby cień kryjącego swe oblicze szatana.

— Panie, odpuść i spraw, abyśmy jeszcze dzisiaj byli z tobą w raju — powiedział ktoś spośród skazanych łamiącym się głosem. W tym momencie w zakratowanym otworze wejścia stanął strażnik. Zważył go zapewne modlitewny szmer owego „Panie, zmiłuj się...” i zaległa potem tak niebywała tu cisza. Ksiądz Kazimierz obrócił się właśnie twarzą do celi i stał ze złożonymi przed sobą rękami, a oddział skazanych na śmierć klęczał jak przed połowym ołtarzem na jedno kolano. Strażnik znieruchomiał zaskoczony niezwykłym widokiem. Wiązka złorzeczeń, którą miał zawsze w pogotowiu, utknęła mu w krtań. A przecież nic nadzwyczajnego się nie działo. Regulamin nie zabraniał ani klęczeć, ani stać ze złożonymi przed sobą rękami; nie było przymusu kręcenia się bezustannie

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)



żliwe jednak do rozpoznania siły, zakorzeniony jest znacznie głębiej w naszej mentalności od czasów Oświecenia. A razem z tym mitem przekonanie, że wszystko, co dzieje się ważnego na świecie, dzieje się poza nami, bez naszego udziału, czy nawet poza naszą świadomością. W bardzo ciekawej, inspirującej książce „Granice historyczności” Barbara Skarga stawia m.in. pytanie, czy możliwe jest rozpoznanie czegośkolwiek (w świecie znaczeń i wartości), co byłoby niezmiennie, niepodległe mechanizmom relatywizacji, na czym więc oprócz prawa byłoby naszą potrzebą prawdy. Ale to ustalanie granic tego, co historyczne, zabezpieczanie niejako człowieka przed pochłaniającym go potokiem zmienności, wskazuje równocześnie filozoficzną intencję autorki, która czuje jakby wszechogarniająca siłę tego żywiołu i nie chce mu ulec — jakby wbrew doświadczeniu na poziomie potocznym, posługując się jedynie językiem wysokiej abstrakcji. Nasze człowieczeństwo implikuje takie inwarianty — sugeruje autorka — ale są one uchwytnie tylko pod postacią pytań (a więc nie prawdą pozytywną), pod postacią — powiedziano by się — niepokoją poszukiwania.

Inspirująca książka Barbary Skargi czy może stawać się przykładem, czy w ogóle powinna być czytana jako wyraz przeświadczeń formacji, włączana w jakieś „role” społeczne? Bardzo daleka droga od publicystyki martwiącej się brakiem programów politycznych do filozofii niepokojonej trudnościami wskazania inwariantów w potoku historycznej zmienności. Wydaje się jednak, że tak potrzebna i chyba nieuchronna rezerwa wobec poczucia ubezwłasnowolnienia przez żywioł historii — dojrzenia o wiele za wolno w stosunku do sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się. Na czym polega niechęć do uczestniczenia w wyborach? Skąd to okropne wyczekiwanie na „mocnego człowieka”, który „zrobi porządek”? Ludzi nie można wybić z jakiegoś stanu odmowy odpowiedzialności z wielu powodów, wśród których najważniejszy może — to trwałość pewnych struktur duchowych pojmowanych jako „bezpieczne”. Gdzie bez poczucia sprzymierzenia się z siłą obiecującą to bezpieczeństwo nie ma mowy o wyjściu ze skorupy nieufności. Gdzie najdotkliwiej odczuwaną kompromitacją jest „utrata twarzy”, czym grozi każda decyzja o sobie samym.

Jeśli potraktować naszą literaturę jako

**WYRAZ „DUCHA ZBIOROWOŚCI”**

jako prawdę o naszej mentalności i powtarzających się zachowaniach, okaże się, że mamy nieustające poczucie

kompromitacji wynikające z samego pragnienia podmiotowości. Nie o to już nawet chodzi, że nie się tu nikomu nie udaje (taka jest w końcu prawda o życiu), ale o to, że niemożliwe albo kompromitujące jest uzyskanie pewnego poziomu zaistnienia podmiotowego. Każda próba tego rodzaju prowadzi nieuchronnie do pewnej granicy niespełnienia się, niedokonania, utraty sensu dalszego działania, jakby „tracenia twarzy” (celuje w tym literatura Iwaszkiewicza), bądź też przekraczania ową granicę i wtedy postać (czyli człowiek) realizuje się z żalosną śmiesznością, jako pusty wewnętrznie stereotyp, naśladowca strywalizowanych wzorów (Gombrowicz i kontynuatorzy). Status podmioto-

ności. Redukcji ulegał wszczępiony przez tradycję pierwiastek indywidualnej odpowiedzialności za siebie, za otoczenie, za świat, której to odpowiedzialności kształtowanie, wpajanie, przekazywanie — może uchodzić za fundament europejskich wzorów kulturowych. Zrzekanie się tej odpowiedzialności, rozmywanie się tego wzoru, który zakłada pewne wymagania ponad korzyściami czysto osobistymi — uznała Hannah Arendt za równoznaczne ze zgodą na ruinę świata, jaki odziedziczyliśmy.

**ROZWAŻANIA FILOZOFÓW**

ujmowane w wielkie uogólnienia wydają się często jakby „za daleko idące”, ich wnioski i oceny — wyolbrzymione i

z pewnych skłonności” czy pewnych gotowości wytworzonych obok niego czy niezależnie od niego, on je przejął i podporządkował — w tym sensie staje się on jednym z najbardziej zatrutych owoców pewnej tendencji rozwojowej samej cywilizacji. Nie jest źródłem choroby tylko jej szczególnie jadowitym przejawem. I nie da się niestety unicestwić z dnia na dzień poprzez radykalną przebudowę samych instytucji życia publicznego, jest to zadanie na znacznie odleglejsze terminy.

Za pozywną uchodzi taka myśl, która prowadzi do wskazań: jak się zachowywać, jak działać. Tak uczył Sokrates, tak formułują to filozofowie współcześni. Ale opisywanie pewnych zjawisk czy

formy naszego bytu są stale i w wysokim stopniu zagrożone, że jesteśmy pozbawieni narzędzi oporu i samoobrony, że wyodrębniając się — zwiększamy stopień naszego zagrożenia. Zaistnienie odrębnie — oznacza wydać się zagrożeniu. Ołóż tak ukształtowane przeświadczenie nie da się już uzasadnić racjonalnie jako następstwo podporządkowania się prawom czy regulatorom obiektywnym.

Poczucie zachwianej tożsamości, na co zdaje się cierpieć bohater współczesnej literatury polskiej, jego niemoce wyzwolenia się z jałowości stereotypów — mają za jedną z istotnych przyczyn ów lęk podmiotowego zaistnienia, ową niepewność co do konieczności podobnej decyzji. Jest oczywiste, że zdobywanie pewności co od siebie, własnej odrębnej egzystencji, własnej podmiotowości wreszcie — to są szeregi aktów wewnętrznych dokonujących się „w przestrzeni osobowości” i racjonalizowanych później dopiero, niejako w konfrontacji z doświadczeniami otoczenia. W tym sensie *egzystencja wyprzedza esencję*, nasz stosunek do świata regulowany jest stopniem pewności co do naszego wyodrębnionego istnienia. Źródło lęku jest w nas — i według niego określamy się w świecie zewnętrznym.

Spekulacje tego rodzaju — czy mogą objaśniać zobjektywizowane zachowania ludzi i grup społecznych? Należy je traktować jako konstrukcje hipotetyczne jedynie, nie dające się sprawdzić badaniami empirycznymi, zawieszona więc w sferze domniemań.

Celem moim było co innego, a mianowicie wskazanie na inne poziomy uwarunkowań stanu mentalności współczesnej. Jesteśmy społeczeństwem „posttotalitarnym”, ale to nie znaczy, że „wszystko, w czym widzimy przeszkody na „drodę ku wolności”, może być rozumiane jako dziedzictwo komunizmu. Przeszkody te bywają i starsze, i głębsze — i nie mieszczą się w zakresie historii sowiezizmu i doktryny sowieckiej. Usuwanie ich jest zadaniem o wiele bardziej skomplikowanym niż najradzykalniejsze zmiany prawno-instytucjonalne. Te przeszkody tkwią w formach rozwojowych samej cywilizacji, a może i w pewnych właściwościach samego człowieczeństwa. Historia je przygotowała, a może i sama natura ludzka. Tak wyraźna dla cudzoziemców bezkrytyczna ucieczka ku anachronicznym, czasem śmiesznym w anachronizmie, postawom i przeświadczeniom światopoglądowym, ku zaściankowemu wzorom i przyzwyczajeniom — ma swoje głębokie korzenie i te właśnie próbowałem tu ukazać.

Włodzimierz Maciąg

# Zachowania bezpieczne

wości stał się dla tej literatury jakby nieosiągalny i to od kilkudziesięciu lat.

Może jednak powstać pytanie, czy te literackie „kłopoty z istnieniem” (podmiotowym) są wyrazem niedostatków mentalności polskiej, czy raczej — i rzecz nabiera wtedy zupełnie innego wymiaru — świadectwem procesu kulturowego, który dojrzeła w naszym wieku do stadium kryzysu. Kryzys rozumiany byłby wtedy jako niemoc udźwignięcia samego siebie i wiązałby się z przekraczaniem progu *umasowienia*, o którym piszą socjologowie, z owymi *ucieczkami od wolności*, o których pisze Erich Fromm, z społeczeństwami, *z-zewnątrz-sterowanymi*, o których pisze David Riesman, z manifestacjami tych poetów, którzy chcieli być wyraziicielami doznań „ulicy” czy „tłumu”.

Chodzi tu o cały różnorodny kompleks następstw, jakie rodzi szybszy niż kiedykolwiek przyrost ludności i związane z nim zwielokrotnienie standaryzowanej produkcji przemysłowej, a w dalszej konsekwencji ujednolicanie się wzorów kulturowych, co z kolei staje się możliwe dzięki lawinowemu rozwojowi różnorodnych środków i dróg komunikacji międzyludzkiej. Proces ten, nazywany najkrócej *umasowieniem*, przynosi przemiany duchowe, które przez wielu wybitnych myślicieli XX-wiecznych oceniane były jako zagrożenie dla klasycznych wartości kultury. Co zaś szczególnie niepokoiło, powieźmy Stanisława Ignacego Witkiewicza albo Floriana Znanieckiego — to obniżanie się standardów życia duchowego w skali zbiorowej, trywializacja celów życiowych, zjawisko, które Znaniecki formułował jako zamianę etyki powinności na etykę przyjem-

przesadne. Historia XX-wiecznej Europy daje jednak sporo przykładów pozwalających mówić o bezwładności zachowań środowisk i społeczeństw, o krańcowo biernych sposobach reagowania na pojawiające się zagrożenia, o bezkrytycznym przyzwalaniu na zło, o bezmyślnej aprobacie dla najprymitywniejszej propagandy. I tak dalej i tak dalej. Uważny obserwator życia XX-wiecznej Europy dostrzeże ową nie dającą się czasem pojąć bierność zbiorową prowadzącą — i to wcale nie wyjątkowo — do przyzwolenia na zbrodnie i występki, a nawet do różnego stopnia współudziału w działaniach niszczycielskich. Czy tak było „zawsze”? Wyróżnić przecież można różne stopnie tej bierności. I są myśliciele głęboko przekonani, że w naszym stuleciu proces ten posunął się dalej niż kiedykolwiek, że ludzie łatwiej niż kiedykolwiek wyrzekają się swoich powinności i gotowi stają się do zgody z każdym zbrodniarzem, który im obieca pewien stopień spokoju i bezpieczeństwa.

Nie wystarczyłoby zatem twierdzenie, że tylko system komunistyczny ponosi odpowiedzialność za „apatję” polskiego społeczeństwa; tak dotkliwie odczuwalną w ostatnich latach. System komunistyczny, podobnie jak inne współczesne systemy totalitarne, wybudowany został na masowym przyzwyczajaniu ludzi do bierności, ale ta bierność dojrzała już wcześniej, jako wypadkowa wieloletnich przemian samej cywilizacji. I nie wydaje się słuszne twierdzenie, że system komunistyczny jest „obcym duchowi polskiemu” tworem rosyjsko-bolszewickim, który jako idea przestał istnieć natychmiast po rozpadzie Związku sowieckiego. System korzystał bowiem

stanów specyficznie podmiotowych, umiejscowionych wewnątrz naszej umysłowości z wielkim trudem poddaje się podobnym operacjom. Wyrażałyby się one w formie apelów skierowanych „do mentalności zbiorowej”, apelów typu:

**„BĄDZIE INNI NIŻ JESTEŚCIE”**

co staje się oczywistym błędnym kołem, nie mówiąc już o samozwańczo-uzurpatorskim pierwiastku podobnej taktyki. Wezwania mające pobudzić ducha przedsiębiorczości, a — co jeszcze ważniejsze — ducha współpracy zbiorowej, pozostają tak długo bezskuteczne, jak długo ludzie nie uwolnią się od przeświadczenia o daremności działań, które nie mają sprzymierzeńca „zewnętrznego”, ponad intencjami. A więc działają, które nie zakorzeniają się w jakichś prawach ogólnych, regulujących bieg wydarzeń europejskich czy światowych, których nie można związać z interesem sił decydujących o przemianach cywilizacji jako całości. Nasze lokalne poczyny — jeśli mają być skuteczne, jeśli mają realizować nasze intencje — muszą wspierać się na podobnych prawach czy siłach.

Szkodzi to owemu duchowi przedsiębiorczości, ponieważ skuteczność działań zostaje uzależniona od skuteczności *podwieszenia* się, od skwapliwości podporządkowania się tendencji, na której bieg nie mamy i tak istotnego wpływu. Te przeświadczenia utwierdzała w ludziach doktryna komunistyczna, wykorzystywała je na swój użytek. Ale jako swoisty wzór *zachowań bezpiecznych* są one uniwersalne i rodzą się z czegoś, co można określić jako *przyrodzone poczucie egzystencjalnej niestabilności*: że

# CZERWONY PIŁAT

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 3)

w kieracie, ani też zakazu całkowitej ciszy. Jednak wszystko to razem budziło głęboki niepokój i zapalało w mózgu strażnika alarmowy dzwonek. Niepewny co czynić, oniesmielony ciszą i rozgniewany brakiem dłań uwagi, pospieszył sprowadzić pomoc. Można by sądzić, iż nawet go nie dostrzeżono.

Uczestnicy mszy trwali w niezmiennej pozycji, nieruchomi, jakby skamieniałi w modłach. Jedynie oczy ich śledziły pilnie każdy gest celebransa. Wzniesiony nad jego czołem wynieciony z chleba biały płatek hostii, przeświecony porannym słońcem i przekreślony czarnym krzyżem kraty — zdawał się plonąć łagodnym płomieniem na ołtarzu więziennego okna. I rzecz niezwykła. W chwili podniesienia zatrzepotały nagle skrzydła miejskich gołębi. Rzucano im tu czasem okrucy, choć było to surowo zabronione, lecz tym razem przyszły same. Jakby zwabione światłem świętej hostii kłębiły się na zewnątrz to przysiadając, to podfruwając, a ich okrągłe jak paciorki oczka zaglądały ciekawie przez kratę. Szum ich skrzydeł i łagodne gruchania przepołyły serca modlących się uczuciem życzliwości, nieomal wdzięczności dla tych bożych stworzeń, które zleciały się tu jakby po to, aby najwznioślejszy moment nabożeństwa umalę swymi skromnymi piórami. Mały ksiądz w aureoli ich trzepoczących skrzydeł promieniał szczęściem. Trzymając hostię znacznie dłużej, niż czynił to zazwyczaj, upajał się zwycięstwem Chrystusa nad ciemnymi mocami zbierającymi już

tam gdzieś swe siły, aby uderzyć na gromadkę wiernych, a pojawienie się ptaków poczytywał za dobry znak, za objaw łaski bożej napawającej jego i jego wernych siłą i odwagą, gotowych przyjąć choćby wszystko, a nade wszystko uczynić pełne, niczym nie zachwiane wyznaniem miary: credo! credo! credo!... Niewielki oplutek w jego palcach rósł do wielkości symbolu miłosierdzia ogarniającego wszechświat, a Duch Święty wcielony w stadko szarych koczowników niebios spływał na wszystkich łaską mającego się spełnić Słowa Bożego i w triumfalnych brzmieniach chórów anielskich przepelnić spragnione dusze... lecz nim mały kapłan zdążył wypowiedzieć w myśli „Tyś jest Chrystus, syn Boga żywego...” stała się rzecz straszna. Zaterkotał karabin maszynowy. Spłoszone strzałami stadko ptaków wzbiło się w powietrze i zakolowało nad dachami więzienia.

Wówczas ze wszystkich strażniczych wieżyczek dano do nich ognia. W prostokątne okna-oltarza Szymon dostrzegł spadające na ziemię krwawe strzępy ptasich trupów, biały puch i wirujące pióra. Rozpaczliwy trzepot skrzydeł i jazgot maszynowej broni rozdzierał boleśnie uszy. Twarze skazanych na śmierć pokryła śmiertelna białosć. Skuliłi głowy i nie wstając z kłęczek zdawali się przyjmować w siebie przeznaczone dla ptaków kule. Ksiądz ze wzniesioną hostią zastąpił w bezruchu i stał jak słup soli. Tkwiący przy drugim oknie Kuźma jakby przy swym ołtarzu zła odwrócił ku modlącom się wielką szatańską twarzą — Na śledej więźnie złapali gołębia — powiedział. — Przetrzymali i wypuścili. A te do niego z kulomiotów... Musowo duraki. Myślą, że pocztowy.

I zaśmiał się. Jednakże jątka niewinnych ptaków zrobiła na nim wrażenie. Sposepniał. Patrzył ponuro na opadające pierze wyłamując palce w swej monstrualnej łapie. Mały ksiądz wnosząc wzrok ku niebu poruszał niemo wykrzywionymi cierpieniem ustami. W korytarzu dały się słyszeć kroki spieszących strażników.

— Sanctus, Sanctus!... Czy znasz gorycz poświęconego Tobie chleba i wina przemieniającego się w winę zbiorowej odpowiedzialności?... Wejrzyj więc łaskawie na onieszczały ołtarz, na spędzonych pod ścianą wiernych, na małego księdza i jego niezwykle me-



(DOKONCZENIE ZE STR. 1)

zająć się całokształtem technicznych zagadnień eksterminacji, a następnie usunięciem zwłok.

W drugiej połowie czerwca Gołoszczekin przebywał w Moskwie, gdzie korzystał z mieszkania Swierdłowa. Właśnie w tym samym okresie dopracowywano tam szczegóły planu likwidacji przebywających na Uralu członków rodziny cara.

#### POD WSPÓLNYM DACHEM Z SIEPACZAMI

Jednakże pod nieobecność Gołoszczekina na Uralu również nie próżnowano. Przede wszystkim należało rozwiązać problem oddziału straży pilnującej miejsca pobytu cara, jako iż przyszli siepacze przestali już ją darzyć zaufaniem. Ze sprawą tą uporano się 4 lipca. Tego bowiem dnia dowódcę straży, Awdiejewa, i jego zastępcę, Moszkina, usunęło z zajmowanych stanowisk pod zarzutem pijactwa i dopuszczania się kradzieży; Moszkina osadzono nawet w areszcie. Komendantem „domu specjalnego przeznaczenia” (należał on do miejscowego obywatela, Ipatiewa), w którym przebywała pod ścisłym nadzorem carska rodzina, został sam Jurowski. Jego zastępcą — jako głównego nadzorca cara i towarzyszących mu osób — został czekiści Nikulin, znany ze swych krwawych wyczynów w Kamyszynie nad Wołgą.

Jurowski i Nikulin zajęli pokój wcześniej zamieszkiwany przez Awdiejewa. Wraz z ich przybyciem pojawił się również oddział złożony z dziesięciu osób, mający teraz pełnię funkcji nowej straży wewnętrznej. Zakwaterowano go w pomieszczeniach na parterze. Wszyscy ci ludzie byli czekiści, odelegowanymi tutaj przez miejscową „czerezwycząjkę”. Wskutek wspomnianych posunięć losy rodziny carskiej znalazły się praktycznie w rękach Jurowskiego.

W niedzielę 14 lipca, na trzy dni przed zabójstwem, Jurowski przystał na prośbę imperatora i zezwolił na odprawienie w domu mszy. Zaproszono w tym celu protojereja soboru w Jekaterynburgu, o. Joana Storożewa i diakona Bujmirowa, który już wcześniej bo w niedzielę, 2 czerwca, odprawiał nabożeństwo dla rodziny carskiej. To właśnie oni dwaj zwrócili uwagę na zmianę stanu psychicznego i samopoczucia cara i carycy. Choć, jak później twierdził ojciec Joan, rodzina carska nie sprawiała wrażenia ludzi udęconych na duszy, a tylko jakby przejawiających znamiona wielkiego zniechęcenia.

Tego dnia początkowo nikt z carskiej rodziny nie śpiewał podczas nabożeństwa. Wszyscy modlili się po cichu, jak gdyby przeczuwając, iż jest to ich ostatnia cerkiewna modlitwa, modlitwa pod każdym względem niezwykła.

Pod koniec nabożeństwa — mówi w swej relacji — ojciec Storożew — miano w stosownej chwili odmówić modlitwę *So sziatymi upokoj*. Lecz z jakiejś niewiadomej mi przyczyny, diakon, miast tylko odczytać, ją odśpiewywał te modły. Chcąc nie chcąc zawtórowałem mu, cokolwiek zmartwiony tym odstępstwem od przewidzianego liturgicznego porządku, lecz w trakcie naszego śpiewu usłyszałem nagle, że oto stojący za mną członkowie rodziny Romanowów padają na kolana...

Tak więc rodzina carska, nawet tego nie podejrzewając, przygotowała się jakby na śmierć wysłuchując żalobnego pienia.

#### PARTIA UCHWAŁA „LIKWIDACJĘ”

Tegoż samego dnia rankiem powrócił z Moskwy Gołoszczekin. O dziesiątej wieczorem odbyło się posiedzenie egzekutywy uralskiego komitetu partii i Komitetu Wojenno-rewolucyjnego, zgromadzenie jednogłośnie uchwala likwidację byłego cesarza, Mikołaja Romanowa, wraz z rodziną, a także wszystkich innych osób przebywających wraz z nim i pozostających na jego usługach.

Postanawia się również, że niniejsza uchwała winna zostać zrealizowana nie później niż do 18 lipca 1918 roku, przy czym odpowiedzialnym za jej wykonanie czyni się tow. J. Jurowskiego, członka Nadzwyczajnej Komisji.

16 lipca o godzinie siódmej wieczorem Jurowski polecił dowódcy posterunku Miedwiediewowi rozbroić strażę zewnętrzną. Odebrano im dwa-

zwrócona ku drzwiom wejściowym.

Powiewać carycy nie mógł stać o własnych siłach, a i caryca również nie czuła się najlepiej, na prośbę cara wniesiono trzy krzesła (...) Wszyscy zachowywali spokój. Najwyraźniej przywykli do podobnych nocnych alarmów i częstych przemieszczeń. Dlatego też wyjaśnienia Jurowskiego wydały im się prawdopodobne.

Jurowski oddalił się po to, by wydać ostatnie rozkazy. W tym samym czasie w jednym z sąsiednich pomieszczeń zebrało się jedenastu siepaczy. A oto ich nazwiska: Jankiel Chaimowicz Jurowski, Nikulin, Stepan Waganow i Paweł Spiridonowicz Miedwiediew. Ponadto siedmiu Węgrów: Lajos Horvath, Anzeim Fischer, Izidor Edelman, Emil Fekete, Imre Nagy, Wiktor Grünfeld i Andreas Vergazy.

Wszyscy oni uzbrojeni byli w siedmiostrzałowe naganę. Ponadto Jurowski zaopatrzył się jeszcze w mauser,

## Śmierć Romanowów

naście rewolwerów, wszystkie typu nagan. Kiedy wspomniana broń trafiła na jego biurko, Jurowski oświadczył Miedwiediewowi, że tej nocy cała rodzina carska zostanie rozstrzelana, a także rozkazał mu, by o godzinie dziesiątej, uprzedził wartowników zajmujących narożne posterunki, ażeby nie wzniesli alarmu, jeśli usłyszą strzały.

#### OSTATNIA NOC

Niczego nie podejrzewając, rodzina carska udała się na spoczynek. Tuż po północy Jurowski wtargnął do ich pokoju, obudził i, sugerując zagrożenie ze strony ciągnących na miasto oddziałów białej gwardii, oświadczył, że właśnie otrzymał rozkaz przeniesienia rodziny Romanowów w bezpieczne miejsce. Po upływie krótkiego czasu, podczas gdy tamci myli się, ubierali i przygotowywali do wyjazdu, Jurowski wrócił w towarzystwie Nikulina i Miedwiediewa. Nakazując wszystkim podążać w ślad za sobą, sprowadził rodzinę carską na parter, ku narożnym drzwiom wychodzącym na Wozniesińskiej Zaułek.

Przedem szli Jurowski i Nikulin, niosąc lampy, aby oświetlić wąskie i ciemne schody. Za nim podążał car. Niósł na rękach następcę tronu, Aleksieja Nikołajewicza, Aleksiej miał nogę grubo przewiązaną bandażem i przy każdym kroku cicho pojękiwał. Za carem szła caryca i wielkie księżne. Dwie z nich niósł wraz z sobą poduszki, a Anastazja Nikołajewna wzięła także swego ulubionego pieska. W ślad za nimi podążał lejbmedyk, J.C. Botkin, pokojówka A.S. Demidowa, lokaj A.J. Trupp i kucharz Charitonow. Pochód zamykał Miedwiediew. Gdy przemierzali już cały parter i znaleźli się w narożnym pokoju — gdzie znajdowały się drzwi prowadzące wprost na zewnątrz — Jurowski skręcił w lewo, do jednego z bocznych pomieszczeń, znajdującego się dokładnie pod sypialniami wielkich księżnych, i oświadczył rodzinie carskiej, że tu będą musieli poczekać, dopóki nie przyjadą samochody. Drugie, przeciwnie drzwi były zamknięte, a wychodzące na zaułek okno zabezpieczone grubą kratą. Cała rodzina carska stanęła oczekując,

a dwóm członkom oddziału wydano także karabiny z bagnietami. Każdy z nich już z góry upatrzył sobie cel. Na przykład Horvath wybrał sobie doktora Botkina. Lecz zarazem Jurowski zabronił im mierzyć w cara lub w następcę tronu; chciał — lub taki właśnie otrzymał rozkaz — usmiercić ich osobiście.

#### DOKONANO MORDU

Za oknem dał się słyszeć warkot samochodu. To uruchomiono silnik czterotonowego „fiata”, sprowadzonego z myślą o wywiezieniu ciała. Odgłosy pracy silnika na zewnątrz miały również zagłuszyć huk strzałów padających wewnątrz domu.

Była mniej więcej 1.15 w nocy (...) kiedy Jurowski znów wkroczył do pokoju, tym razem na czele swych ludzi. Skierował się ku carowi. Nikulin stanął bliżej okna, naprzeciw carycy. Po drugiej stronie, twarzą w twarz z doktorem Botkinem, znalazł się Horvath. Reszta zatrzymała się po obu stronach drzwi. Miedwiediew zaś — w progu.

Zbliżywszy się do cara, Jurowski wypowiedział kilka słów, oznajmiając mu wyrok śmierci przez rozstrzelanie. Rzecz była na tyle niespodziewana, że imperator najwyraźniej nie od razu pojął, o co chodził. Wstał z krzesła i odruchowo zapytał: „Jak? Jak?”

Caryca i jedna z wielkich księżnych zdążyły się jeszcze przeżegnać. W tej samej chwili Jurowski uniósł rewolwer i oddał kilka strzałów, mierząc w pierś w cara, a potem w następcę tronu. Później jak na komendę, otwarli ogień również pozostali (...)

Rozstrzelani padali jedno po drugim. W ciągu dwóch-trzech minut oddano blisko siedemdziesiąt strzałów. Wielka księżna Anastazja Nikołajewna okazała się tylko ranna. Dobito ją ciosami bagnietów i kolb. Anna Demidowa próbowała szukać osłony za stołem poduszek i szamotała się pod ścianą, póki nie przygwoździła jej bagnietami. Dostrzelono i doktorkę jeszcze kilkoro spośród ofiar, po czym nastąpiła cisza (...)

Wtedy to właśnie do „domu specjalnego przeznaczenia” przybyli Gołoszczekin, Bieloborodow, Medius i

Wojkow. Ten ostatni wraz z Jurowskim zajął się oglądaniem zwłok — wracali ciała zabitych na wznak, doszukując się w nich śladów życia. Ograbili przy tym ofiary z pierścieni, bransolet i złotych zegarków. Następnie zwłoki zawinięto we wcześniej przygotowane grube sukno i przeniesiono na noszach na stojącą u bramy ciężarówkę, za której kierownicą siedział robotnik Luchanow.

Pod osłoną nocy ciężarówka ruszyła sprzed domu Ipatiewa (...) kierując się w stronę jedynej drogi prowadzącej do wsi Koptiaki, porośniętej na brzegu jeziora Isietskoje.

Już świtało, kiedy piętnaście wiorst za Jekaterynburgiem, w głuchym lesie ciężarówka skręciła z koptiewskiej drogi na zachód i wjechała na niewielką polanę, gdzie znajdowało się kilka porzuconych kopalnianych szybów. Polana ta znana była pod nazwą „Ganinej Jamy”. Tu ciała ofiar — po wylądowaniu z wozu — pościartowano, oblanie benzyną i spalono w dwóch wielkich stosach.

Trzy dni i dwie noce oprawcy, którym towarzyszyło piętnastu funkcjonariuszy partyjnych, oddawali się swemu dziełu. Wreszcie wieczorem, 19 lipca, wszystko było gotowe. Stare zatarło ślady zgliszcz obu stósów. Popioły i wszelkie pozostałe szczątki wyrzucono do opuszczonego szybu, którego wlot — dodatkowo — zniszczono wybuchami ręcznych granatów. Wierzch został zarzucony suchymi łśmami i mchem, ażeby nic nie mogło zdradzić miejsca tragedii.

O likwidacji rodziny Romanowów Bieloborodow czym prędzej powiadomił telegraficznie Swierdłowa. Jednakże ten nie powążył się ogłosić tego faktu w pełni nie tylko narodowi, ale nawet władzom sowieckim. Na posiedzeniu Sownarkomu, które odbyło się dopiero 18 lipca pod przewodnictwem Lenina, Swierdłow wystąpił z jakimś naдер dziwnym komunikatem. Zawierał on wprost wyjątkowe spiętrzenie kłamstw. Swierdłow stwierdzał tam, iż otrzymał właśnie z Jekaterynburga wiadomość o rozstrzelaniu cara i że egzekucji tej dokonano wskutek decyzji lokalnych władz uralskich. Donosił też, że caryca i następcę tronu zostali ewakuowani w bezpieczne miejsce. O losie carówien nawet nie wspomniał. Kończąc dodał jeszcze, że Prezydium WCiK zaaprobowało decyzję władz uralskich. „Wysłuchawszy w milczeniu komunikatu Swierdłowa, członkowie Sownarkomu podjęli dalsze obrady. Następnego dnia ogłoszono wiadomość we wszystkich gazetach moskiewskich. Po dłuższych rozmowach ze Swierdłowem, z podobną informacją na forum Uralskiej Rady wystąpił także Gołoszczekin. Wiadomość opublikowano w Jekaterynburgu jednak dopiero 21 lipca, tak jakby jekaterynburscy bolszewicy, którzy wprawdzie „samowolnie” rozstrzelali cara, bali się jednak rozgłaszać fakt jego śmierci bez pozwolenia Moskwy.

Jednocześnie, wraz z przybliżaniem się frontu, rozpoczął się paniczny odwrot bolszewickich oddziałów zbrojnych. 25 lipca Jekaterynburg zajęły oddziały Armii Syberyjskiej. Tegoż samego dnia dom Ipatiewa otoczyły straża, natomiast 30 lipca wszczęto śledztwo, w trakcie którego zdołano odtworzyć niemal wszystkie szczegóły tragedii, ustalając zarazem personalia jej inspiratorów i sprawców.

Przełożył:

Andrzej Nowak

stwo. Kiedy bowiem zaalarmowany oficer inspekcyjny, zdyszany i biały, stając przed szeregiem zapytał gwałtownie, kto tu jest księdzem i jakim prawem sieje religijny zamęt — w ostatnim szeregu uniosły się dwie dłonie. To Twój — Panie partyzancki kapelan tym niecodziennym gestem przyznawał się do swego kapłaństwa. Nim też witał na swym nabożeństwie przedstawiciela świeckiej władzy. W Twoim imieniu rozgrzeszał go z jego tak niezaszczytnej misji i długo milczał uparcie — albowiem nie dokończył jeszcze świętej ofiary. Wstrząśnięty pogromem niewinnych płaków, zgwałcony do odstąpienia ołtarza, zgnębiony rozpędzeniem wiernych — jakże musiał cierpieć, że nie wolno mu było odczytać głośno świętej Ewangelii, ani też dokończyć celebracji i że zamiast niego, o Chryste Panie, Twego duszpasterza, wygłosił miał bezbożne kazanie pełniący niedzielny dyżur oficer inspekcyjny. Gdy mały ksiądz w duchu dopełniał świętej ofiary, ów bezbożnik, o Panie, pouczał go o sprawach wiary! Groził, ostrzegał i przykazywał aby wypełniając swe praktyki religijne nie stawał na drodze bezbożnej idei nowego wyzwolenia świata.

— Przede wszystkim — mówił — nie róbcie wokół siebie łoku. Prawdziwa wiara nie potrzebuje zbiegowisk. — Powoływał się przy tym na pewnego świętego, którego imię wyleciało mu z pamięci, a który najchętniej modlił się na pustyni. — W spokoju, wiecie, w ciszy... No nie tej, rozumiecie, która była przyczyną alarmu. Ta cisza — mówił — to zwykła polityczna heca, nie z potrzeby pogadania z Bogiem, a z chęci pokazania władzy, że się jej nie boicie. Władza zna potrzeby duszy, rozumie, że ktoś może być wierzący, ale potrafi odróżnić modlitwę od prowokacji.

Zbliżył się do okna, wziął z parapetu garnuszek, obwąchał, a czując zapach wina, zapytał, co w nim było. Mały kapelan zdawał się nie dosłyszeć pytania. Trafiony w samo serce cierniem bezbożnej mowy przykleił w szeregu, aby prosić Boga o przyjęcie tej nieudanej okaleczonej ofiary. O, jakże Bóg miałby nie przychylić się do tej prośby! Buszujący przy parapecie oficer ze służbową powagą ponownie pociągnął nosem.

— Pytałem, co było w tym kubku?!

Mały ksiądz podniósł się z kłęczek, uczynił znak krzyża i powiedział:

— He, missa est!

Oficer wykrzywił usta ze zniecierpliwieniem.

— Samogon z rodzynek — oświadczył widać dobrze poinformowany. — Powieście mi, że to mszalne wino, a ja wam powiem, że dla władzy bez różnicy, ot samogon...

— A tak... — zgodził się kapelan nie po to, by razem z nim bluźnić, lecz, by bluźniercy dociąć jego własnym słowem. — Samogon... ale nie dla władzy go pędziłem. I tyle tylko było, co na świętą ofiarę...

Inspekcyjny puścił złośliwość mimo uszu, odstawił kubek. I chwala Ci, Panie, za to, co po chwili uczynił. Najlepszy bowiem z Twych aniołów nie potrafiłby Twego duszpasterza wynieść na taki szczyt szczęśliwości.

— Kto się nie modlił — rzekł — ręka do góry!

Jak zasiadł, tak i zebrał. Zgłosiło się dwóch: celowy i doktor Bruno. Do licha, dlaczego właśnie oni?! Ale był to jedyny tak niespodziewany zgrzyt. Mały kapelan nie dostrzegł nawet, kim byli ci dwaj. Oczy jego radowały się niezwykłym widokiem wielkiej manifestacji wiary. Aż przeląkł się pychy. Stał się sprawcą niemal cudu i już dobijała się do jego serca. Bronił się przed nią złożeniem dłoni.

— Panie, nie jestem godzin, nie jestem godzin...

Poblady z gniewu oficer stanął naprzeciw Kuźmy. Z lekką drwiną w głosie wypomniał mu napady na plebanie, po czym zapytał, czy także się modlił. Zbój obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

— Patrzyłem na te gołębie, co za oknem... Ale pacierza matka uczyła. — I dodał po namyśle: — A czego miałbym się nie modlić? Czy to ja komunista?

Inspekcyjny nie kwapiąc się przekonywać zbója do komunizmu ze zniecierpliwienia (DOKONCZENIE NA STR. 6)



## Sztuka pamiętania

Bogdan Rogatko

Włodzimierza Odojewskiego jeszcze do niedawna można było przeczytać tylko w wydawnictwach emigracyjnych lub drugo-obiegowych, a jego nazwisko nie pojawiało się nawet w opracowaniach krytycznoliterackich. Wyjechał z Polski w r. 1971, w dwa lata później w Instytucie Literackim opublikował nie przyjętą w kraju powieść „Zasypte wszystko, zawieje”. Była ona jeszcze jedną wersją powikłanych losów bohaterów pojawiających się we wcześniejszych utworach, począwszy od młodzieńczej „Wyspy Ocalenia”, ale zawierała zbyt przejrzystą aluzję do zbrodni katyńskiej. Sprawa ta występowała w twórczości Odojewskiego sporadycznie już wcześniej i stanowiła bardzo istotny element fundamentalnego dla filozofii pisarza problemu: winy i kary. Odojewski uważa, że wina zbiorowa obciąża w nie mniejszym stopniu niż indywidualna sumienia poszczególnych ludzi, zatem kara, której najwyż-

szym wymiarem bywa kara historii, dotyka wszystkich winnych, do któregoś pokolenia włącznie. Dzieje ludzkości obfitują w różnego rodzaju zbrodnie. Jedną z najohydniejszych w czasach współczesnych było stracenie tysięcy polskich jeńców przez funkcjonariuszy NKWD. Ohydę tej zbrodni pogłębiała jeszcze zмова milczenia podyktowana względami politycznymi. Ale im większa wina, tym rozleglejsza kara. „Katyń” oprócz przerażającej konkretności mogił podstępnie rozstrzelanych oficerów posiada również znaczenie symboliczne, wyrażone przez Odojewskiego akcentowane: symbolizuje sowieckie zbrodnie popełniane w ciągu wielu lat na naszym narodzie, za które Rosja nie uniknie kary.

Najbardziej dosłowny wyraz znalazł ten problem w kluczowym dla filozofii pisarza opowiadaniu z tomu „Zabezpieczanie śladów”, zatytułowanym metaforycznie „Ku Dunajskiemu Wzgórzcu idzie

las”. Nawiązując do „Makbeta” przeprowadza Odojewski analogię między lasem Birnam, który w tragedii Szekspira rusza ku okrutnemu władcy, by go zniszczyć, a lasem katyńskim. Dziennikarz polski, pracujący w jednej z zachodnich gazet, tłumaczy profesorowi, Białorusinowi z pochodzenia, że wszystkich Polaków bez względu na polityczne poglądy jednocy przekonanie o nieuchronnym końcu Rosji. To, co nas może napawać otuchą, Rosjan, nawet antykomunistów, napęła przerażeniem: „ze panowanie tego największego w historii zła skończy się totalnym upadkiem, dzikim buntem, rzezią wewnętrzną, nową pugačovszczyzną, w której zginię, rozpadnie się i rozsypie ich matuzkja Rosja...”

Opowiadanie mówi więc o początku końca sowieckiego imperium, a zarysowana w nim apokaliptyczna wizja okazuje się zaskakująco prawdopodobna. „Katyń” stał się teraz punktem zwrotnym — jako symbol zbrodni ludobójstwa i jako najmówniejszy znak niestrudzonej pamięci, cierpliwego zabezpieczania śladów win, czekających na karę.

„Początek końca — mówił dziennikarz, spełniający rolę autorskiego porte-parole — zrodził się już w tych ciem-

nych lasach, gdzie oni mordowali strzałem w tył głowy. (...) Las Birnam ruszył już wtedy przed laty, kiedy oni tych oficerów gnali przez duwshereg, wylamywali, krepowali ręce, po strzale kopniakiem spychali ciała w dół... i idzie.”

Odojewskiego wizja świata nie jest, i nigdy nie była, pesymistyczna. Mimo obserwowanego upadku wartości kultury europejskiej, mimo chaosu pojęć etycznych i niepokojących zawirowań dziejów, nie stracił pisarz wiary w moralny porządek świata i w porządek historii. U podstaw tej wiary tkwił przeczuć istnienia istoty Wyższej; bez metafizycznej intuicji człowiek staje się niczym.

Z filozoficznego punktu widzenia opowiadaniem najważniejszym w omawianym tomie jest, jak już zaznaczyłem, „Ku Dunajskiemu Wzgórzcu idzie las”. Ale artystycznie najlepsze wydaje mi się opowiadanie lagrowe pt. „Bóg z Tobą, synu”. To jedno z najwyższych osiągnięć we współczesnej prozie. W przejmującej scenie kaźni słowa mszy św. wypowiadane przez białoruskiego księdza i polskiego skazańca nadają cierpieniu wiszących na hakach więźniów sens liturgiczny.

„A oni, patrząc na siebie przez ganek środka kaźni, da-

lej odpowiadali mszę, dochodząc do Ofiarowania. (...) I liturgia zdawała się łączyć ofiarę wszystkich wiszących, skazanych przez komendanta na karę słupka w szóstym podobozie lagru Smirnowaja na dalekim sowieckim wschodzie, z ofiarą Chrystusa.”

Porządek świata powinien być chroniony przez pamięć. Niekiedy do niej tylko możemy się odwołać — do pamięci naszych i nie naszych win, do pamięci zbrodni, których byliśmy świadkami lub o których słyszeliśmy, ale także pamięci pierwszych wrzesień, wtajemniczeń, pamięci odmawianej w dzieciństwie modlitwy. Pamięć musi być sprawą ważną i może być sprawą piękną.

Twórczość Odojewskiego to konsekwentne przeciwstawianie siły wymazywania pamięci — sztuki pamiętania. Tomasz Burek omawiając „Wyspę Ocalenia” użył określenia „Ideologia retrospektywna”. W przypadku Odojewskiego oznacza ona obronę prawa do pamięci zarówno w płaszczyźnie etycznej, jak i artystycznej. Tropiąc ślady wiodące w ciemne lasy przeszłości stworzył pisarz dzieło o nieprzemijających wartościach literackich.

Włodzimierz Odojewski: „Zabezpieczanie śladów”, „Czytelnik 1990.

## „Świat umrze trochę, kiedy ja umrę”

Iwona Misiak

Po „Wyborze wierszy” i „Opowieści dla przyjaciela” ukazała się trzecia część — biografia Haliny Poświatowskiej. Czy ta ostatnia książka będzie pomocna w odczytaniu i zrozumieniu twórczości Poświatowskiej?

Małgorzata Szulczyńska długo pisała tę biografię. To jej debiut. Autorka także jest poetką, ostatnio drukowała wiersze w „Res Publicae”, niedługo ukaże się jej tomik. Poświęciła dużo czasu, szukając przyjaciół poetki, prosząc o jej listy, nakłaniając do rozmów. „Nie popełniłam zdrady” jest wynikiem rzetelnej, sumiennej, uporczywej prac. Fragmenty książki ukazywały się w prasie, budząc zainteresowania i oczekiwania czytelników.

Jest to historia kobiety zmagającej się z obcym światem, walczącej z chorobą. Szulczyńska unika zbytecznych komentarzy. Nie wchodzi w intymny obszar życia Poświatowskiej. Sądzi, że lepiej oddać głos swojej bohaterce, niż próbować własnych domysłów i interpretacji. Tytuł każdego z rozdziałów roz-

poczyna cytatem z jej utworów. Tytuł całości pochodzi z ostatnich zdań „Opowieści dla przyjaciela”. Trudno byłoby oddzielić życie od poezji, gdyż życie dyktuje te wiersze, ale nie życie tylko wypełnia twórczość.

Jak trudno pisać biografie wiedzą i autorzy, i czytelnicy. Nikt inny, a właściwie czytelnicy wyobrażają sobie często postać, głos, twarz poety. Ciekawość jednak chyba nigdy nie zastania najważniejszego — dzieła. Są poeci, którzy godzinami wpatrują się w zdjęcia mistrzów. Szulczyńska wybrała i pokochała Poświatowską. O ludziach, których darzy głębokim uczuciem, trudno jest mówić. A jeśli kogoś nie ma już wśród nas, trudność jest podwójna.

Opowieść o Poświatowskiej, pomijając początkowe rozdziały traktujące o dzieciństwie, chorobie, pobytach w szpitalu, małżeństwie, zaczyna się i kończy tym samym motywem marzenia o powrocie do własnej ziemi. Podobnie jak w prozie dla przyjaciela. Podróż do nowego kraju, nowego języka, Nowego Jorku stała się „ulicą, po której

trudno się poruszać”. Poetka zachłannie poznawała Amerykę. Zaspokajała głód życia. Wspomnienia z podróży zawarte w listach, wierszach, książce wyrażają jej zachwyty. Studiując w Smith's College, znajdowała czas na podziwianie niezwykłych, niecodziennych krajobrazów i ludzi. Była wrażliwa na kolory, zapachy, dźwięki i słowa. Zatrzymywała je w pamięci. Odbywały potem drogę przez wyobraźnię, aby zaistnieć w książkach. Dzielila się swoimi doświadczeniami z niewidomyim przyjacielem, Ireneuszem Morawskim. Czas odnawiał a nie zaspokajał jej pragnień. Jedno jest pewne, nie chciała oddalić się od ojczyzny na dłużej. Tam została najbliższych. Do nich powracała w listach.

Poetka zmierziała nieuchronnie ku śmierci. Perspektywa ostatecznego odejścia zbliżała się i znikała, aby znowu powrócić. Ten wyraźny wątek życia i pisania podejmuje Szulczyńska.

Jaka była Poświatowska? To silna i uparta osobowość, nie pozbawiona autoironii. Pełna dystansu do siebie i

świata, jednakże pragnąca szybko zgłębić wszystkie tajemnice życia. Przekonana, że każda chwila wymagała odpowiedzi zadowolenia lub smutku, a radość i ból nie miały sensu oderwane od drugiej osoby. Dobrze, żeby inny człowiek był blisko, blisko intelektualnie i duchowo. Nie znaczy to, że nie szukała ciepła, które można było objąć. Świadectwem — twórczość poetki. Nie uniknęła nastroju przygnębienia i udręki, stąd zrodziła się chęć wejścia w krainę filozofii i poezji. Poezja była ucieczką z obszaru wątplenia.

Granica języka nie była granicą jej świata. Poświatowska często powtarzała: najważniejsza jest miłość, miłość w sobie życie i śmierć. Wszystkie kartki, które zapisywała, oddając rytm jej serca, szum ciepłej krwi, tęsknotę i zachwyty. Najbardziej charakterystyczne dla tej poezji było zmagania się z okrutnym losem. Poetka przez wiele lat operowała się przeznaczeniem i nikt nie wie, dlaczego naraziła się śmierci. Ona zatrzasnęła jej drzwi przed przyszłością.

Szulczyńska dużo wie o Poświatowskiej. Portrety ludzi kreśli szkicowo, ale poprawnie. Puste miejsca w książce są jak milczenie. Może przemówią kiedyś głosem ludzi, którzy kochali poetkę do bólu. Autorka stara się o wy-

ważenie swych sądów, dba o opinie i uczucia przyjaciół. Ceni sobie wyrozumiałość i obojętność. Czy będzie to przyczyną sukcesu książki?

Biografia zawiera dużo pięknych zdjęć Poświatowskiej, ale na okładce znalazła się fotografia słabo przypominająca poetkę. Szkoda, że nie umieszczono zdjęcia z dwóch poprzednich książek, tym razem, na przykład w kolorze niebieskim, kolorem jej pierwszego tomiku „Hymnu bałwochwalczego”. Możemy poznać twarze adresatów wierszy — męża, przyjaciół, rodziny. Nie rozumiem, dlaczego autorka załącza akt urodzenia, świadectwa ocen, legitymację ZLP? Myślę, że to niepotrzebne.

Małgorzata Szulczyńska długo szukała tajemniczego przyjaciela. Ireneusz Morawski był bardzo ważną osobą dla poetki. Jednak nie chce opowiedzieć o swej przyjaźni. Poświatowska pragnęła opublikować ich korespondencję, lecz on nie wyraził zgody. Jest jednak nadzieja, „bo trudno uwierzyć, aby przyjaciel postąpił wbrew ostatniej woli, tej, dla której był drugą połową duszy”.

Małgorzata Szulczyńska: „Nie popełniłam zdrady”. Rzecz o Halinie Poświatowskiej, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990, s. 390.

## CZERWONY PIŁAT

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 5)

plwieniem machnął ręką, przeszedł wzdłuż szeregów i zatrzymał się przed jego-  
mościem w tenisie.

— A wy Lewiatan? — Znał go z widzenia, wiedział o jego pochodzeniu i dziwnym mu się wydawało, że się nie zgłosił. — Przecież żeście się nie modlili. Podnieście ręce, dobrze wam radzę. Jakby to wyglądało, gdyby wam, synowi narodu żydowskiego, naczelnik wstrzymał paczkę za mszę świętą?

Izraelita nerwowo sięgnął ręką pod szyję chcąc zapewne poprawić krawat, przypomniał sobie, że go nie ma i gwałtownie rozrzucił ramiona:

— Tutaj była msza święta?... Ze też nie zauważyłem. Mój ty Boże, ale właśnie się modliłem. — Mały kapłan poczuł, że wznosi się na sam szczyt drabiny Jakubowej, — I co pan mówi? — dopytywał Lewiatan — że z tego mogą być paczki... znaczy się wstrzymane? Oj, jaka szkoda!

Inspekcyjny skrzywił się cierpko. Dodał, że nie tylko paczki, lecz i widzenia, co najmniej na dwa miesiące, wszystkim... z wyjątkiem tych dwóch, co podnieśli ręce, po czym z fałszywym współczuciem popatrzył na kapłana.

— No jak, pasterzu? W matnię zagnaliście owieczki. I taką przykrość sprawicie ich rodzinom... Przeklną was te nieszczęsne matki i żony. Tyle bólu zadać im na same święta! Wystąpcie!..

Nieszczęsny pasterz! Przez niego to ci biedni ludzie pozostaną na święta na nędznym więziennym wikcie, przez niego to nie ujrzą swych matek, żon i córek! O Panie, oddal od niego ten kielich goryczy przepelniony solą leżących pod więzienną bramą, lecz nade wszystko pozwól mu cierpieniem odkupić wyrządzoną braciom krzywdę. Wywołany, przedarł się przez szeregi i stanął z pokorą u kraty.

— Bóg niech mnie osądzi — powiedział, a inspekcyjny obrzucił go pobłażliwym spojrzaniem.

— Bóg nie ma nic do gadania na moim dyżurze. Dzisiaj ja tu najwyższym sędzią. Ale powiem wam coś... Piłat był niegłupi człowiek. Po co duchownego włóczyć po karczerach? Wracajcie do szeregu! A za wstrzymane paczki i widzenia, cela sama was osądzi!

Chryste Panie! Czy znasz wstyd i hańbę ujścia spod krzyża? Spójrz na swego kapłana ze spuszczoną na piersi głową, z powrozem na szyi powracającego bez ran męczęstwa między sponiewieranych braci! I na tego tu czerwonego Piłata z zadowoleniem zacierającego ręce. Na jego chytry uśmiech, gdy zwalnając od męki małego księdza wlicza w zysk hańbę ułaskawienia.

Szymon był jednak w biedzie sądząc, że czerwony Piłat osiągnie swój cel. Jego także spotkał wkrótce bolesny zawód. Jakkolwiek bowiem Bóg nie miał nic do powiedzenia na dyżurze czerwonego Piłata, to jego doczesna władza okazała się znajdująca w zupełności innych rękach. W poniedziałek z rana wbrew ułaskawiającemu wyrokowi inspekcyjnego, wywołano z celi księdza Kazimierza, poddano przesłuchaniu, zeznano i wtrącono do karczeru. Wrócił po dwóch nocach wycieńczony i skostniały z zimna. Lecz dzięki Ci, o Panie! Przez oczyszczającą mekę w oświetlonych murach karczeru obdarzony został łaską najwyższego zaufania u skazanych na śmierć. W ciągu najbliższych dni z ufnością powierzali mu swoje dusze, a ksiądz łamiąc chleb udzielał im Najświętszego Sakramentu.



## CZYTAŁA

Kryminały mogliśmy czytać dopiero po październikowej odwilży. Było ich mało, więc rzucali się na nie prawie wszyscy. Wówczas to lukę między apetytem na dobry kryminał i brakiem oryginalnych zachodnich produktów z tej serii zaczął wypełniać Noël Randon. Tylko niektórzy wiedzieli to, co w dzisiejszych ksiązkach tego autora ujawnia zdjęcie na okładce: tajemniczym Randonem był — i jest — nasz rodzimy krakowianin, Tadeusz Kwiatkowski, autor w innych dziedzinach prozy całkiem, całkiem poważny.

„Dwie rurki z kremem”, „Donoszę ci Luizo” i „Cały ogień na laleczkę” to kryminały udane. Ich akcja zbudowana jest według najlepszych, bardzo klasycznych reguł tego gatunku, postacie nakreślone żywo, język komunikatywny i dobry. A nastrój całości, tak ważny w kryminale? Coś jest tu z klimatu, a nawet z typowych bohaterów Agathy Christie, odrobina z Chandlera...

Randona — Kwiatkowskiego warto kupić z dwóch powodów: czytelnik nie zawiedzie się, są to czytelnie dobre — a po drugie są tanie jak na obecne książkowe ceny (poniżej 10 tys. zł).

Najciekawsze jest to, że mimo upływu niemal ćwierćwiecza kryminalne powieści Tadeusza Kwiatkowskiego nie zestarzały się. Miło mieć w gronie krakowskich pisarzy aż dwóch udanych autorów powieści kryminalnej — a obaj ukryci są pod pseudonimami: Joe Alex i właśnie Noël Randon. Pseudonimy dowodzą, że obaj panowie mają w pogardzie tę swoją kryminalną twórczość. Czytelnicy wręcz odwrotnie: bardzo ją lubią i czekają na więcej...

Noël Randon: „Donoszę ci Luizo” i „Cały ogień na laleczkę” Wydawnictwo Literackie 1990.

RECYDYWISTKA

## Co kto czyta?

JULIAN KORNHAUSER — poeta, prozaik, krytyk literacki, tłumacz.

Obecnie czytam kilka książek naraz: „Współczesne narody” Floriana Znanieckiego, „Mistrza i diabła” Andrzeja Drawicza, tom wierszy Stanisława Beresia pt. „Już tylko sen”, „Zabezpieczenie śladów” Włodzimierza Odziejewskiego, „Dziennik bez samogłosek” Aleksandra Wata i wzmocnienie książki Stanisława Barańczaka — „Książki najgorsze”.

MAREK ROSTROWSKI — historyk sztuki, autor głośnych wystaw „Polaków portret własny”, „Żydzi — polscy”.

Czytam teraz wiele prasy, a z książek — „Dziennik” Gombrowicza. Prawde mówiąc wolę „Dziennik” niż jego powieści. W „Dzienniku” jest on nadzwyczaj odkrywca.

Zafrapowało mnie na przykład to, co pisze on o malarstwie. Gombrowicz przyznaje, że sam nie lubi malarstwa i zauważa, że nikt dzieł malarstwa nie ogląda naprawdę, nigdy obraz nie jest tak oceniany, jakby na to zasługiwał. Widzowie powtarzają tylko zachwyty, jeden po drugim, bez głębszego przekonania i dzieło samo trafia w próżnię. Odwrotnie jest z literaturą, na którą reaguje się żywo.

Muszę się z Gombrowiczem zgodzić. Istotnie, mało kto we właściwy sposób odbiera malarstwo. Nieraz dopiero po latach, po wielu „podejściach”, po wielokrotnym oglądaniu dzieła przemawia ono w pełni do wrażliwości odbiorcy.

„Podobnie jak w przeszłości został podpisany haniebny układ Molotow — Ribbentrop, tak dzisiaj potęgi militarne współczesnego świata narzuciły układ o nieprolifacji broni atomowej. Z tego powodu moja propozycja broni odstraszającej dla Polski będzie niezwykle ostro krytykowana przez Zachód i przez Wschód. Tyle, że nie sądzę, żeby

## DRESZCZOWIEC

ktokolwiek z nas miał zamiar atakować Stany Zjednoczone czy Związek Radziecki, bo w jakim celu? Chcemy odbudować własny kraj i otrzymać właściwe wynagrodzenie za naszą pracę. Broń atomowa jest nam potrzebna do powstrzymania zaborczych apetytów i zapew-

nienia naszej suwerenności, abyśmy mogli pracować w spokoju, czuć się w pełni niezależni i równi innym wolnym narodom. Tylko te kraje, które powodują się ukrytą chciwością, które chcą czerpać z Polski wymuszone korzyści ekonomiczne, mogą nie zgadzać się na

wyposażenie Wojska Polskiego w sto rakiet megatonowych (...) Przed 50 laty w sytuacji śmiertelnego zagrożenia dostarczyliśmy Zachodowi hitlerowskie V-2 montowane przez nazistów w Polsce, dzisiaj potrzebny jest nam TRANSPORT V-2 w przeciwną stronę.

Stan Tymiński  
„Święte psy”

Drukujemy dalsze fragmenty nie znanej w Polsce książki J. Barrona sprzed 3 lat. Opisuje on w niej przejście tajnego agenta KGB, Stanisława Lewczenki do CIA.

W tym odcinku Barron opowiada o sposobie zwerbowania przez KGB amerykańskiego obywatela. „Czarnym charakterem” jest tym razem pracujący w USA Polak, działający na rzecz radzieckich służb wywiadowczych.

## KGB —

## główny wróg (V)

John Barron

Wszystko to, o czym Stanisław Lewczenko wiedział lub czego był świadkiem w Japonii, KGB przedsięwzięło każdego dnia również w Stanach Zjednoczonych — tyle że czyni to na znacznie większą skalę. W przybliżeniu, w Nowym Jorku, Waszyngtonie i San Francisco stacjonuje na stałe czterystu oficerów KGB i GRU, którzy prowadzą wywiad i podejmują Akcje Bezpośrednie. Ich żmudną pracę wspiera dodatkowo wielu oficerów kubańskich, bułgarskich, wschodniemieckich, polskich, czeskich i węgierskich służb wywiadowczych, które funkcjonują jako jednostki pomocnicze KGB. Około 6000 obywateli radzieckich odwiedza co roku USA i spora liczba spośród nich obarczona jest przez KGB zadaniami specjalnymi.

W Stanach Zjednoczonych, podobnie jak w Japonii, naczelnym celem KGB jest zdobycie nowoczesnych technologii, niezbędnych dla podtrzymania radzieckiej potęgi militarnej i przemysłowej. W Centrum tłumaczono Lewczenko, że wartość danych, wykradanych co roku przez Zarząd Techniczny i Naukowy (Zarząd T), jest znacznie wyższa niż roczne koszty operacyjne całego KGB. Lewczenko nie był w stanie ocenić prawdziwości powyższej opinii, toteż zastanawiał się, czy nie jest ona przypadkiem tylko biurokratyczną przechwałką, rozpowszechnianą w celu uzasadnienia wyższych dotacji budżetowych. Wszystkie dowody jednak zdawały się wskazywać, iż twierdzenie to dalekie jest od przesady.

W konsekwencji podatnicy amerykańscy będą musieli w ciągu najbliższych lat wydać całe miliardy dolarów, aby stworzyć przeciwwagę dla broni radzieckiej, która nie powstałaby nigdy, nie mając oparcia w amerykańskich technologiach. Liczne przypadki, które można zrekonstruować na podstawie zeznań, protokołów sądowych itp. ilustrują różnorodność sposobów, dzięki którym KGB udało się — i udaje się w dalszym ciągu — doprowadzić do tej szczególnej sytuacji.

Zanim dosięgły go przeciwności losu, William Holden Bell wiódł dość udane i raczej szczęśliwe życie. Urodzony 14 maja 1920 roku w Seattle, Bell mając ledwie osiemnaście lat zaciągnął się do marynarki i w momencie ataku Japonii na Pearl Harbour przebywał na pokładzie trałowca. Służył znakomicie, odnosząc kilka ran. Po wojnie ożenił się, miał syna i córkę, ukończył fizykę na uniwersytecie kalifornijskim i w roku 1950 zaczął pracować dla Hughes Aircraft Corporation w Los Angeles.

Hughes już od dawna pracował na rzecz obronności i wprowadzał cały szereg nowych technologii, toteż Bell skorzystał z okazji, jakiej dostarczała mu praca w tej firmie, aby zostać ekspertem od wojskowych urządzeń radarowych. Od roku 1962 do 1965 kierował większymi przedsięwzięciami Hughesa w Europie, toteż firma wysłała go tam również w roku 1974, powierzając jeszcze bardziej odpowiedzialne zadania. W roku 1974 wartość dolara w stosunku do walut europejskich spadła, toteż koszty utrzymania w Europie wzrosły tak bardzo, że Bell musiał wydać wszystkie swe oszczędności. Ponadto jego małżeństwo uległo rozpadowi, a długotrwały proces rozwodowy pochłoniął większość majątku, zmuszając do płacenia dwustu dolarów tygodniowo, tytułem alimentów.

Po powrocie do Los Angeles (w marcu 1976) Bell stwierdził, iż firma stawia obecnie raczej na ludzi młodych i że jego widoki na dalszą karierę są znikome. Był również ścigany przez urząd podatkowy, który nie chciał uwzględnić przymusowych wydatków poczynionych w Europie. Przytoczony zaległymi płatnościami, wystąpił o uznanie bankructwa.

Próbując w jakiś sposób uporządkować swe życie, Bell ożenił się z młodą belgijską stewardesą, po czym wraz z nią i jej małym synkiem zamieszkał w kompleksie apartamentów Cross Creek Village w Playa del Rey w Kalifornii. Podczas pewnego weekendu, jesienią 1977 roku, Bell przypadkowo poznał swego sąsiadę, Mariana Zacharskiego, który przedstawił się mu jako menedżer umiejscowionej na Zachodnim Wybrzeżu filii przedsiębiorstwa Polamco z Chicago, które — jak twierdził — zajmowało się eksportem maszyn przemysłowych. Chociaż Bell uznał, że Polamco jest firmą amerykańską, przedsiębiorstwo to należało w istocie rzeczy do rządu polskiego, a Zacharski był funkcjonariuszem polskiego wywiadu.

Przystojny, sympatyczny i dobrze ułożony, Zacharski liczył sobie dwadzieścia sześć lat; wściviwie mógłby być synem Bella. A dowiedziawszy się, że Bell pracuje u Hughesa

i specjalizuje się w radarowych systemach kontroli przeciwpożarowej, zaczął czym prędzej odnosić się doń niezwykle serdecznie, niemal jak syn i jak bliski przyjaciel.

Rzecz jasna, obaj rozmawiali o pracy i kiedy Zacharski go o to poprosił, Bell chętnie dostarczał mu oficjalnych publikacji z zakładów Hughesa. Kiedy z kolei Zacharski dopytywał o kontakty z ludźmi, których może zainteresować kupowanie maszyn przez Polamco, również podał mu kilka nazwisk. W trzy lub cztery dni później Zacharski wpadł niespodziewanie wieczorem, podziękował za kontakty i tytułem wynagrodzenia wręczył mu 4000 dolarów w gotówce. Bell był przekonany, że jego informacje nie doprowadziły w efekcie do żadnej transakcji i że nie zasłużył na taką sumę. Ale, o czym Polakowi dobrze było wiadomo, potrzebował pieniędzy i podpisał odpowiedni kwit.

Jesienią 1978 roku Zacharski wystąpił z propozycją, by po przejściu u Hughesa na emeryturę, Bell przyjął posadę w Polamco, jako inżynier-konsultant. Bell, zwiędziony licznymi pochlebstwami, widział w tej propozycji możliwość nowej kariery i koniec swych kłopotów finansowych. Niedawno ukończył dla Hughesa tajne opracowanie pod tytułem „Zamaskowany system broni palnej, skuteczny w każdych warunkach atmosferycznych” i, aby wyrwać na Zacharskim tym większe wrażenie, pokazał mu je na korcie tenisowym. Widząc, iż na dokumencie widnieje nalepka TAJNE, Polak poprosił, by zezwolił mu zabrać rzecz do domu dla bezpiecznego przestudiowania. Bell wiedział, że będzie to krok niewłaściwy. Ale przecież w końcu — tłumaczył sobie — bardzo często się zdarza, że inżynierowie, w rozmowach ze swymi przyszłymi pracodawcami, ujawniają im różne zawodowe sekrety.

Któregoś wczesnego popołudnia w styczniu 1979 Bell usłyszał nagle dzwonek do drzwi. Był to Zacharski; uśmiechając się wręczył mu bez słowa kopertę ze siedemdziesięcioma studolarowymi banknotami. Bell spojrzął na pieniądze i wymamrotał „Dziękuję”. Mniej więcej w tydzień później Zacharski przybył ponownie i wręczył mu kopertę zawierającą pięć tysięcy dolarów.

Ta niespodziewana hojność uwolniła Bella od dręczących go kłopotów finansowych. W kwietniu otrzymał kolejny niespodziewany prezent, aparat Canon z obiektywem, który umożliwił fotografowanie dokumentów. I wówczas to Zacharski poprosił o przysługę. Otóż jego firma chciałaby posiadać pewne dokumenty z zakładów Hughesa. Czy Bell mógłby je sfotografować? Wdzięczny swemu przyjacielowi i dobroczyńcy oraz zwabiony wizją jeszcze większych pieniędzy, Bell wyraził zgodę, pocieszając się w duchu, że chodzi tu jedynie o szpiegostwo przemysłowe. I w ciągu następnego miesiąca sfotografował całe setki stron dokumentów, które zabierał ze sobą wieczorem do domu, a odwoził do firmy nazajutrz.

W wrześniu 1979 roku Zacharski oznajmił, że Bell musi pojechać do Europy na „negocjacje”. Tak jak mu nakazano, Bell poleciał do Austrii, udał się do Innsbrucku i tam zakwaterował w hotelu. Gdy rankiem wychodził z hotelu, podszedł do niego mężczyzna, który przedstawił się jako Paul i niemal bezbłędnie angielszczyzną zapytał:

— Czy jest pan przyjacielem Mariana? — (Paul to Anatoliusz Inowolski, oficer polskiego wywiadu, podający się za przedstawiciela handlowego w Nowym Jorku, skąd zresztą wyjechał parę miesięcy wcześniej).

Odjeżdżając spod hotelu z Pauliem i jeszcze jednym młodszym polskim oficerem wywiadu, Bell wręczył im trzy filmy, które zawierały plany skomplikowanego systemu radarowego, skutecznego w każdych warunkach atmosferycznych. W centrum handlowym ten młodszy oficer zostawił film w jednym ze sklepów, u agenta, po czym wybrali się na ustronne wzgórze, położone poza Innsbruckiem. Podczas spaceru opustoszałą ścieżką Paul wypytował Bella o jego pracę i dostęp do informacji u Hughesa.

Nagle Paul przystanął i pokazał Bellowi zdjęcie jego młodej belgijskiej żony oraz ich synka, zrobione w pobliżu ich kalifornijskiego mieszkania.

— Ma pan cudowną rodzinę — oświadczył tonem, który zmroził Bella do szpiku kości. — Tylko niewielu ludzi wie o operacji, w którą jesteście zaangażowani. Gdy idzie o bezpieczeństwo, zależy nam wzajemnie od siebie.

I wymachując zdjęciami, przestrzegając:

— Jeśli ktokolwiek spróbuje się wychylić, ja sam nimi się zajmę.

Wyrażna groźba pod adresem rodziny przeraziła Bella i odarła go z wspaniałych złudzeń, co do rodzaju zajęcia. Gdy tego samego dnia spotkali się ponownie, Paul zapytał go, na ile ocenia swoje przyszłe usługi.

— Pięćdziesiąt tysięcy rocznie lub 2—3 tysiące miesięcznie — odpowiedział Bell.

Paul dał mu niezobowiązująco 5000 dolarów w banknotach studolarowych i 2000 dolarów na koszty podróży. Udzielił mu nadto instrukcji, co do ich przyszłego spotkania, mającego nastąpić w Innsbrucku 7 maja 1980 roku. Ponadto Polacy zapatrzyli go w listę konkretnych danych, jakie miał zdobyć u Hughesa. Dotyczyły one szczegółów systemu pocisków obrony przeciwlotniczej, instrukcji operacyjnej helikoptera armii USA, podręcznika obrony przeciwlotniczej i planów Isesera o dużej energii, a także systemu naprowadzania i śledzenia radarowego. Bell był zaskoczony, że Polacy znają tak dokładnie wewnątrzfirmowe sygnatury identyfikacyjne żądanych dokumentów.

(Ciąg dalszy nastąpi)



# WITOLD TURDZA ODKRYWA NIEZNANY WIERSZ NORWIDA

Ciągle jeszcze słabo znany twórczość C. K. Norwida. Wiele w tym winy uczonych filologów, zastanawiających się np. nad rozwiązaniem tajemnicy „czterdzieści i cztery”, przez co umyka im z pola widzenia wiele innych, pasjonujących tajemnic. Tymczasem życie, obfitujące w zaskakujące niespodzianki, przyniosło niezwykłą rewelację.

Jak wiadomo, niektórzy z kandydatów na urząd prezydenta posiadają czarne teczkę z najtajniejszymi materiałami. Otóż udało się (nie zdradzimy, jakimi sposobami) wykraść część z nich. Pośród papierów znalazł się nie znany dotąd wiersz Norwida, wieszczącego wizję przyszłych wyborów w wolnej ojczyźnie. Napisany dokładnie 150 lat temu utwór, dowodzi, jak słusznie przyznano poecie miano wieszacza.

Poemat nie zachował się, niestety w całości. Być może autor, zniechęcony własną wizją, nie miał ochoty dopracować go lub też część utworu po prostu przepadła. Wszelako to, co zostało, zasługuje na najwyższą uwagę. „Dekada Literacka” jest pierwszym tygodnikiem drukującym ten, nigdy dotąd nie publikowany, wiersz.

## Urna wyborcza

1

Stalem przy urnie w te dni przedostatnie  
Obywatelskiego dzieła —  
— Pełne jak młot  
Ostro jak zgrzyt...  
— Gdy jedna myśl do drugiej szeptać ją:  
„Oto nadeszła pora — uwydatnić!”

2

Stalem przy urnie w ten dzień już ostatni,  
Gdy podobiała — co chwila, co chwila —  
Do Ateną ciężarnej Zeusa głowy,  
W której się boska moc z nędzą przesila  
Z każdym szelestem wrzucanego głosu,  
Zderzając się  
Co raz — co raz —  
I dziwiąc skrycie:  
„Byłżeby głos  
Jak noża cios  
Co grały innych... chociaż...  
daje życie?”

3

Stalem przy urnie, by u Znaczeń Księgi  
Obwitej bielą i szkarlatem razem

Jak łańcuchem — chęć — wiary — i potęgi —  
Podobnej rzeźbie, której kształty chowa  
Płachta rzucona — i nie zna nikt, głowa  
Czym obrazem...  
I była jako mumia urna owa,  
Którą z bandaży  
Niżli dobyto  
Reką obwito  
Wieczystego Sędziego bez twarzy!

4

A w tym, co wewnątrz kryje, pełnione ustawne  
Imionami, co nie powierzone  
Prócz karcie jedynie, we dwoje złożonej,  
Niechaj nikt nie odgadnie —  
A w tym, co wewnątrz kryje, tyle było  
Podeptanych idei... I swary,  
Ułamki myśli zlepionych siłą,  
Czucie — jedno bez wiary,  
Jakby wszystkie Gorgony  
Starożytne, rzucone  
W każdą urnę — głowy węzowe  
Krzywiąc, wrzasły  
Z szyderstwem, co serce udławia,  
Polityczna iż jest  
Marna sprwa.

5

I była w tym Polska, co ulata  
Orlo, znając prawd... półtora,  
Dumna poklaskiem świata,  
Alé wewnątrzności sięgniesz — miłknie chęć  
Jestże to ona  
Rozjedniona?...  
(Poznał-ci-że bym ja, że tak jest chore)..

6

I — oto — już zamknięta — i już więcej  
Nie oglądam Jej — jedno — słyszę:  
Coś?... jak by ryk zwierzęcy —  
— A to jeszcze kłóca się holysze

I znów widzę acz oko mię boli  
Ręce do niej przypadły  
Spodem w górę ją kładły  
Sypie... okruciami historii.

(X)

Karta jedna — imię — owdzie upadło  
Pośród pyłu, zamętu — świeci jak Iza...  
Oko moje — odgadło:  
Idea — sięgnęła dna —

## Camera obscura

Bardzo interesujący program TV o Zbigniewie Brzezińskim, z cyklu „Portrety”, zmieniła postać Zigmunt Broniarka, który „wzbogacił” program tak cennymi uwagami, jak ta na przykład, że Brzeziński nie podoba się kobietom, w tym żonie Broniarka. Naszym zdaniem najważniejsze jest to, aby pani Broniarkowej podobał się własny mąż... Red. Broniarek wystąpił w roli wesółka serwując parę wątpliwych dowcipów i anegdot. Najsmutniejszy jednak dowcipem był sam Broniarek, którego tak dobrze pamiętamy z czterdziestoletniej wicennej służbie PRL-owi w dziennikarstwie różnych etapów i gatunków. Ciekawe, jak długo jeszcze redakcja TV będzie wystawiać na próbę cierpliwość widzów lansując uporczywie tak zgrane figury.

W swej diatribie („Tygodnik Literacki nr 18”) tłumaczącej się z wydrukowania antysemickiego

tekstu Celine’a, redaktorzy „brulionu” atakują wszystkich i wszystkich: „humanistycznych moralistów” (wołając zapewne antyhumanistycznych amoralistów), „durnotę polskiego chłopca”, a nawet niepodjęcie (przez kogo?) tematu „Chrystus jako wątpliwa osoba boska”. Broniarek się też osobliwym argumentem, że nie obliżuje ich do niczego „to, że ktoś nałogowo gra w piłkę ideą niepodległości, antysemityzmem, gołą dupą (sic)” itd., widać perwersyjnie uznając pojęcia te za równorzędne. W jednym ze zdań czytamy również: „Człowiek nie rodzi się idiotą...” Co do tego można mieć poważne wątpliwości...

W programach naszej kochanej telewizji bogactwo ostatnio aż uderza po oczach. Bogactwo form i treści. Na przykład „Noc Andrzejkowa” realizowana wspólnymi siłami Radia Fun i krakowskiego Ośrodka TVP rozpoczęła się od najazdu ka-

mery na „Solidarnościowe” symbole i kombatantskich wspomnień o podziemnym „Radiu Solidarność”. Skończyła się na... porno, około godziny 2.00 w nocy. W inne dni około godziny 21.45 można obejrzeć audycję zatytułowaną „Na Anioł Pański”, aby potem wraz z tak zwanym „Kanałem płytym” z Wrocławia spędzić resztę wieczoru i nocy na oglądaniu... znowu porno. Chleb w zasadzie jest, czy takie igrzyska są konieczne...?

Dawniej, gdy sklepy były zamknięte, widniał na nich napis: „REMANENT”, dziś wisi inny: „PRYWATYZACJA”. Ten pierwszy odbierał nadzieję klientom, niekiedy personelowi sklepu. Ten drugi daje nadzieję obu kategoriom obywateli. Czy nadzieja to matka głupich, przekonamy się bardzo szybko. Jeśli na przykład w Ryn-u Głównym będą same butiki, to nie tylko nadzieja jest matką głupich, ale dowód głupoty dadzą także tzw. decydenci. Słowo paskudne, ale Rynek otoczony wianuszkami butików — jeszcze paskudniejszy.

Andrzej Zaręba przedstawia:



## Magiczne daty

Marta Wyka

Datę porządkują naszą świadomość i naszą pamięć, są drogowskazami, według których gospodarujemy w przeszłości; są dzwonkiem budzika, wywołującym z obszarów doświadczenia fakty najważniejsze i wymowne. Nasz dwudziesty wiek dorasta pośród tych dat wywoławczych: w roku 1900 umiera Nietzsche, w roku 1905 dochodzą do głosu wielkie ruchy rewolucyjne, lata 1914—1918 kładą kres pewnemu porządkowi europejskiemu, lata dwudzieste są podobno szalone, ale już trzydzieste katastroficzne. O czym rozmawia wówczas Europa?

Aleksander Wat napisał w „Bezrobotnym Lucyferze”: „W roku 1935 mówiono w Europie o potrzebie pokoju, o niebezpieczeństwie innych ras, o bliskiej wojnie, o zbrodniach, o teńcach, o anarchistach, o sporcie, o Ameryce, o kryzysie ekonomicznym, o paktach politycznych, o końcu świata, o kryzysie demokracji, o Żydach. W kawiarniach apostołowali apostołowie zagłady cywilizacji, zapowiadający dzień ostateczny”.

Zważywszy, iż książeczka, z której ten fragment został wyjęty, ukazała się w roku 1926, można by powiedzieć, iż jesteśmy ogarnięci pasją rozmów i przepowiedni na podobne tematy. Potem oczywiście tematy — wraz z kolejnymi postojami dat — poważniały. Okupacja, wojna i nasze daty polskie, nie — europejskie: 1949 (początek socrealizmu), 1956, 1968, 1970, 1980, 1981, 1989 i w ramach w ostatnią dekadę stulecia. Zamyka się pewien cykl, dochodzimy do przelomu wieków. Przed nami: przestrzeń ciemna i niejasna, chciałibyśmy poznać jej kontury chociażby w przybliżeniu, czujemy, że to nierealne, próbujemy analogii.

Jak to było w poprzednim fin-de-siècle? Każda wyobraźnia tworzy obrazy indywidualne, ja spróbuję naszkicować mój osobisty konterfekt przeszłości.

Rozmawiano o wspaniałej metodzie doktorów Freuda i Charcota. Szepiano plotki o berlińskim „Czarnym prosiaku”, o romansach Strindberga. Przybyszewskiego i Dagny. Oglądano te niemożliwe rysunki Wyspiańskiego i całą tę dziwną secesję. Na mieszczańskich salonach pojawiał się Tetmajer, budząc namietności i zgorzniecie. Już przyjechał do Krakowa Przybyszewski... Już Gabrielski ofiarował mu w holdzie swój fortepian. Koniec ulicy Karmelickiej to był prawie koniec Krakowa dalekiej błoty i wień. „Kraków malutki jak jajko w listowiu”. Piękne, piękne czasy...

Ale rozmawiano też o sprawach poważniejszych. Podobno astronomowie przewidują wielką katastrofę solarą, na słońcu pojawiły się bowiem złowieszcze plamy. Co się stanie, gdy słońce wybuchnie? Poeci zapisują w wierszach te dziwne niepokoje, prosty lud emigruje, okrety w Rotterdamie pełne są uchodźców udających się do nowego, lepszego świata.

Czyżby powtarzały się cywilizacyjne konwulsje? Lub też my sami imputujemy tę powtarzalność, wybierając z przeszłości fakty podobne do teraźniejszości? Czy zatem sześćdziesiąt stulecia musi być naznaczony fatalizmem końca — nie zaś optymizmem początku?

Myślę, że przyszłe stulecie, ku któremu zbliżamy się nieuchronnie, wymyśli jakieś własne wielkości. Inne od naszych. Również jego daty będą odmienne od naszych — w sensie ich uczuciowej i merytorycznej zawartości. Nowe stulecie Polaków... Nowe stulecie Europy.

**DEKADA LITERACKA** — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Gazeta Krakowska”. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Ewa Lipska, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowka (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lam, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.